N. 25. WARSZAWA d. 10 (22) Czerwca 1872 ROKU.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

Treść Numeru. Od Redakcji.— Na skon Moniuszki.—Kilka słów o przekładach przez Elizę Orzeszkową.—Trochę prawdy przez Zygmunta Noskowskiego.—Korespondencja ze Lwowa.—O Ubiorach.— Różne wiadomości. — Albina Studjum Powieściowe z notatek autora ułożył Jan Zacharjasiewicz. — Marzenia Gilberty opowiadanie Amadeusza Acharda.—Fayum, Sinaï i Petra przez Joannę Belejowską.— Przytem dodatek z drzeworytami.

OD REDAKCJI.

Tygodnik Mód i Powieści wychodzić będzie i w drugiem półroczu r. b. pod temi samemi warunkami.

Prenumerata pozostaje ta sama, a mianowicie kwartalnie w Warszawie rs: 1 kop. 50.

Na prowincji z opłatą pocztową:

kwartalnie Rs. 2.

półrocznie Rs. 4.

Należytość prenumeracyjną prosimy przysyłać **wcześnie wprost do Redakcji** pod adresem J. K. Gregorowicza, Ulica Żabia N. 956.

Przyjaciel Dzieci

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE dla dzieci od 5 do 14 lat wieku również w półroczu drugiem r. b. wychodzić będzie. Prenumerata nadzwyczaj niska pozostaje ta sama.

Kwartalnie w Warszawie kop. . . . 75.

Na prowincji i w Cesarstwie z opłatą pocztową kwartalnie rs. . . . 1

półrocznie „ . . . 2

Należytość prenumeracyjną prosimy przysyłać pod tym samym adresem, jak na Tygodnik Mód i Powieści.

Na skon Moniuszki.

Szumią jodły na gór szczycie,
Szumią sobie w dal,
A młodemu tęskne życie
Gdy ma w sercu żal.“ *(Halka)*

O! żal wielki, bolesny przenika nam życie!
Bo zgasłeś nam jak słońce, gdy w szczytnym błękicie
Czarna chmura je skryje przed ziemian oczami;
Lecz słońce znów zaświeci — choćby u zachodu —
A ty już nigdy strun swych nie zawiążesz z nami...

Próżno cię Mistrzu echa wzywają narodu,
Grobowa zewsząd cisza, — zasnąłeś na wieki!..
Anioł śmierci zagasłe przywarł ci powieki,
I próżno serce ziomka twéj lutni przyzywa,
Już nie nam ale Stwórcy duch twój hymny śpiewa...

O śpiewaku, czarujący,
Czy to z górnych stref,
Tak roznośnem echem brzmiący
Słychać cudny śpiew?..

Ach! to odgłos pieśni twojéj
Jeszcze żywo brzmi...
W sercach naszych cuda roi
I zachwytu łzy...

O! niech szumią górne jary
Z nad Wiślanych fal...
Niech roznoszą smutne gwary
Nasz serdeczny żal!..

Tyś nam Niebo otwierał Mistrzu nasz kochany!
Twa muzyka od kołysk niosła nas w błękity —
Byłeś silny i rzewny, tęskny naprzemiany,
I skarby uczuć swoich stroiłeś w zachwyty.
Czyś z Adamem po stepach Akermanu chodził,
Czyś z Krymskich gór wierzchołka uwielbiał przyrodę,
Czyś hymny po świątyniach wspaniałe zawodził—
Twe dźwięki zawsze cudne, zawsze świeże, młode!

Gmachy świątyń, niskie chaty,
Lasów głośny szum,
Ustroiłeś w cudne kwiaty
W urok śpiewnych dum!

Cześć Ci mistrzu nasz wybrany
Tyś jest chwałą nam,
Żyj w Harmonii nieprzebranéj
Wśród wieczności bram!

Maksymilian Przedecki.

Warszawa d. 7 Czerwca 1872 r.

KILKA SŁÓW O PRZEKŁADACH

Z POWODU ARTYKUŁU

PANA STANISŁAWA NOWIŃSKIEGO

przez

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

Najprostsze naturalne zjawiska, najdziwaczniejsze znajdują tłomaczenia, to co stanowi podporę, uprzyjemnienie a poniekąd i wartość życia, ulega zupełnemu zaniedbaniu. Ciekawym lecz zarazem bardzo smutnym byłby obraz tych hygienicznych warunków, w jakich żyją u nas matki i wychowują się dzieci. Jeszcze ciekawszym i osobliwszym spis zdań panujących pomiędzy wielką częścią publiczności, o lekarzach i innych ludziach nauki. Są tacy którzy każdą klęskę przypisując nadprzyrodzonéj woli i sile,

a wierząc że bez wyroku bożego nikomu włos z głowy nie spadnie, w mieście objętem epidemiją cholery, zajadają w najlepsze ogórki kwaszone i kąpią się w zimnéj wodzie dopóki nie umrą w najstraszniejszych męczarniach. Są jeszcze inni, którzy nie gaszą pożaru powstałego od uderzenia piorunu, bo widzieli by w tem sprzeciwienie się rozporządzeniom nieba. Któż zresztą policzyć potrafi te najróżnorodniejsze abberacje umysłowe i niedołęztwa moralne, w jakie pogrąża ludzi brak elementarnéj przynajmniéj wiedzy o naturze człowieka i wszystkiego co otacza go codziennie. Jaka zaś summa życia i zdrowia ludzkiego, a co zatem idzie pracy i spokoju a więc także bogactwa, szczęścia i cnoty przepada marnie przez ten brak światła, nikt tego obliczyć nie jest w stanie, ale świadczą o tem liczne przedwczesne śmierci, powszechna prawie słabość organizmów, zniedołężnienie rąk, zesmutnienia serc i zubożenie rozumów. Cała ta niska skala umysłowa naszego ogółu, byłaby w istocie zadziwiającem zjawiskiem ze względu na dawno[illegible]zéj cywilizacji i bogactwo przyrodzonych zda[illegible], których nikt nam bez niesprawiedliwości odı[illegible] nie może, gdyby go nie tłomaczyły każdemu dobrze znane koleje, katastrofy i utrudnienia stające na drodze postępu. To też nie myśląc bynajmniéj o obwinieniu ogółu, ani o wysnuwaniu złych o nim wniosków z tego co w wielkiéj części nie jest jego winą, powinniśmy przecież nie zaniedbywać żadnego ze środków mogących zły stan rzeczy polepszyć a będących w naszéj mocy. Rozpowszechnienie dzieł popularno-naukowych, jest jak mi się zdaje, jednym ze środków najdzielniejszych ku wykorzenieniu szkodliwych przesądów i nałogów, i obznajomienie massy ludności z elementarnemi przynajmniéj prawami rządzącemi życiem człowieka na ziemi. Znaczna większość mężczyzn, którzy nie mieli sposobności lub możności uczęszczania do wyższych naukowych zakładów, i ogół kobiet dla których zakłady takie nie istnieją wcale, z tego jedynego źródła czerpać mogą najkonieczniejszą do rozsądnego życia dozę wiedzy. Raz to uznawszy należy wziąść pod uwagę, czy piśmiennictwo nasze dość jest zamożne w podobnego rodzaju prace, aby módz zaopatrzyć niemi ogół stosownie do potrzeb jego? Zdaje mi się że tak nie jest. Mieliśmy zapewne i mamy ludzi którzy poświęcają się tej zaszczytnej i mozolnej pracy, ale ilość ich jest bardzo mała, w stosunku do wielkiéj potrzeby narodu. Nie chcę bynajmniéj ubliżać w niczem kilku młodym piórom, które od niedawna rozpocząwszy zawód popularny autorski, zdają się wiele obiecywać na przyszłość, ale miłość dla prawdy nakazuje powiedzieć, że ogół pisarzy u nas mało się nadaje do prac tego rodzaju. Nie wiem czemu przypisać należy panujące pomiędzy nami zamiłowanie koturnów, na które wstępuje każdy prawie młody uczony poczynając pisać, i stanąwszy już raz na téj podniosłości, przemawia do świata przez gęsty welon mgły, którym otacza swoją głowę a który tamuje doniosłość jego głosu. Jasność i prostota nie są głównemi cechami odznaczającemi ich utwory, które mogą być zresztą wielce głębokie i mądre, ale do zrozumiałości nie powinny rościć najmniejszéj pretensji. Korzystać z nich może mała tylko ilość śmiertelnych, co się zaś tyczy nie już ludu ale średnio oświeconych warstw społeczeństwa, na jakie składa się większość mężczyzn i wszystkie kobiety bez żadnego wyjątku, dla tych te pracowite i godne zapewne szacunku, ellokubracje, pozostaną na zawsze pisanemi po grecku. (1)

O ile wiem najwyborniejszymi popularyzatorami w świecie są Francuzi, nie brakuje też takich w piśmiennictwie angielskiem, a Niemcy u których nauka była do niedawnego czasu monopolem zostającym w wyłącznem posiadaniu uczonym, zebrali się teraz na sporą liczbę ludzi, którzy w pięknej roli rozkrzewicieli światła nietylko nie widzą dla siebie ujmy, ale przeciwnie szczycą się jej pełnieniem jako najpożyteczniejszym użytkiem dokonanym z posiadanej wiedzy, najchwalebniejszym liściem swego wawrzynowego wieńca. Kto o tem wątpi niech zechce przeczytać umieszczoną na czele *Rozprawy o pokarmach* Molleschotta przedmowę tego autora. Kilka z niej wyjątków posłuży do przedstawienia, w jaki sposób uczeni sąsiedzi nasi pojmują i jak gorąco przyjmują do serca zadanie popularyzatorów nauki. Znakomity fizjolog Niemiecki pisze tam w następny sposób. Uwielbienie jakiem czuję się przenikniony dla niepodobnej do naśladowania formy, którą Aleks: Humboldt wzbogacił dzieła swe: Kosmos i Obrazy natury, natchnęło mię zamiarem ofiarowania ogółowi wyników badań moich, przyodzianych formą przystępną a pomieszczonych przedtem w mojej Fizyologji pokarmów, przeznaczonej dla lekarzy i naturalistów. Jasność opisów połączona z żywością słowa mogąca jedynie zastąpić w części osobistą obserwacją, oto warunki które wydają mi się niezbędnemi dla obranej przezemnie formy... Starałem się o zachowanie ścisłości naukowéj w takim tylko stopniu, w jakim wymagał go praktyczny użytek mogący wypłynąć dla ludu z opisu pokarmów, odpowiadających codziennym jego potrzebom. W obec ludu znika większa lub mniejsza wartość jednostki, a najpiękniejszą nagrodą uczonego, jest widok dokonanego przezeń odkrycia stającego się użytkiem i własnością wszystkich. Postęp jednostek wtedy tylko zbawiennie działa na ogół, jeżeli prawdy ogólne wyświecane przez naukę, za pomocą praktyki przenikają życie codzienne ludu. Pożytek i oświecenie ludu! takiem było, takiem jest zawsze godło mego życia! W tych krótkich lecz jakże pięknych słowach, mieści się całe wyznanie wiary i uczuć, z jakiem każdy popularyzator nauki zabierać się winien do swego dzieła.

Jeżeli przeto uznamy, że wiadomości naukowe najściślej nawet potrzebne dla rozsądnego życia nader są mało znane naszemu ogółowi, i że we własnem piśmiennictwie posiadamy zbyt mało dzieł odpowiednich, aby z ich wyłącznie pomocą skalę ich podnieść, skoro jeszcze do tych twierdzeń dodamy przekonanie, że brak wiedzy zgubnie działa na fizyczny i moralny organizm narodu, i że o poprawienie braku tego usilnie starać się należy, cóż tedy w konsenkwencji rozwag tych i przekonań uczynić nam wypadnie? Oto przyzwać do pomocy cały zastęp pracowników innych ludów, myśli ich i nauki przyodziać szatą rodzinnej mowy, i w jak największej możebnej obfitości rzucić je pomiędzy massy aby uczyły się, otwierały oczy na nieznane sobie dotąd światy, zdobywały sobie te wszystkie podpory życia i rękojmie spokoju których im nie dostaje.

(d. c. n.)

(1) Niedawno powstałe w Warszawie pisma p. t. *Przyroda i Przemysł*, *Niwa* z wytkniętym dla działalności swéj kierunkiem popularyzacyjno-naukowym, nie grzeszą powyżéj wytkniętemi wadami. Jasne i zrozumiałe obrobienie pomieszczanych w nich artykułów, równa się pożyteczności ich treści. To samo powiedzieć można o młodym pisarzu zwracającym na siebie od pewnego czasu uwagę myślącego ogółu, p. Juljanie Ochorowiczu. Prace tego autora cenne są widniejącą w nich prawdziwą wiedzą, a jasność wykładu i skłonność nie dopuszczająca napuszoności, czynią je przystępnemi i sympatycznemi.

Trochę prawdy

Z DZIEDZINY MUZYKI

z powodu koncertu Władysława Żeleńskiego i jego utworów.

PRZEZ **Zygmunta Noskowskiego.**

(Dokończenie.)

Pan Żeleński pierwotnie kształcił się w Krakowie u ś. p. Mireckiego. Owocem tych studjów była Sonata wydana w Medjolanie, zdradzająca talent, ale też wskazywała intencje przewodnika, który kształcąc się na włoskiéj muzyce, wielkim jéj był zwolennikiem. Nie przeszkadzało to bynajmniéj żeby Mirecki nie posiadał nauki ogromnéj, gust jego był tylko następstwem wpływów zewnętrznych, którym w młodości ulegał.

Pan Żeleński jednak więcéj miał przekonania do muzyki niemieckiéj, bo czuł jéj głębokość, widział oraz że pod względem nauki harmonii, kontrapunktu i form muzycznych, nigdzie wyżéj wykształcić się nie może, tylko pod okiem nauczyciela szkoły niemieckiéj...

Wbrew więc radom Mireckiego, który go do Włoch wysyłał, dla dokończenia nauki, udał się do Pragi, gdzie pod okiem znakomitego muzyka Krajtschego ukończył kurs kompozycji, jednocześnie otrzymawszy stopień doktora filozofii Pragskiego Uniwersytetu.

Krajtsche wtajemniczył p. Żeleńskiego szczególniéj w modulacje harmoniczne, i obznajmiał go z najnowszemi w tym kierunku sposobami, rozwijając więc fantazję uczucia, dawał mu jednocześnie możność pokonywania zawiłych trudności modulacyjnych.

Po chlubnem skończeniu szkoły Krajtschego, wyjechał pan Ż. do Paryża, chcąc wstąpić do Konserwatorjum, lecz dowiedziawszy się, że znakomity teoretyk Damcke udziela lekcje prywatne, udał się do niego i zaczął pisać pod jego okiem wszystkie rodzaje wyższéj kompozycji, i w ten sposób pracował przez dwa lata.

Uważałem za konieczne przytoczenie tych okoliczności, gdyż łatwiéj będzie ocenić, w jaki sposób wpłynęły one na charakter utworów pana Żeleńskiego.

Krajtsche i Damcke są klassykami i to przeważnie zagłębionymi w formach muzyki pokojowéj instrumentalnéj i kościelnéj.

Ztąd więc pan Ż. ostatecznie poszedł w tym kierunku i ostatnim tego wyrazem jest jego symfonja H minor.

Dzieła jego z czasów nauki nie przedstawiają interesu np. kwartet i warjacje, które miałem sposobność słyszeć, zalecały się dobrą techniką, ale też znać że autor dla niej go tylko pisał, mniej dbając o polot.

Z owéj epoki lepsze są pieśni, których pewną ilość wydał.

Z tych: „Młodo zaswatana" jest utworem, prostotą i wdziękiem melodji odpowiadającą zupełnie wymaganiom liryzmu.

W innych są intencje do obrazowania, dbałość o kunsztowne odrobienie akompaniamentu, ale też widnieje sztuczność melodji np. „Moja pieszczotka", „Pajęczyna". „Śpiewak w obcéj stronie" i inne. Nie zmniejsza to jednak wartości utworów, lecz wykazuje łatwość korzystania ze środków technicznych, jakiemi pan Ż. rozporządzał.

Interesującym i ładnym z dawniejszych utworów pana Ż. jest jego *Valse lirique*" na fortepian i basetlę, który nie wiem czemu nie zrobił dobrego wrażenia, na niektórych zwłaszcza krytycznych osobistościach wówczas, gdy go za granicą ceniono, jako utwór niepospolity przez oryginalny i ładnie przeprowadzony temat. Ustęp np. środkowy należy do najszczęśliwszych pomysłów w tym rodzaju.

Fortepianowe utwory pana Ż. (wydane w Wiedniu) noszą na sobie cechę indywidualności. Z nich przebija się duch ognisty, głęboki i szlachetny. *Preludium*, *Canon*, są wyborne i pomysłem i techniką.

Po pierwszéj bytności pana Ż. w Warszawie, zaczyna się druga epoka w jego utworach t. j. wydobywanie się z pod wpływów szkoły, a rozwijanie się samodzielne, i rzecz dziwna, odbywa się to tak szybko, że innym był wyjeżdżając z Warszawy w roku zeszłym, a innym wracając do niéj w kilka miesięcy. Utwory jego ostatnie wykonane na własnym koncercie są: Sonata i Symfonja, którą kończył już między nami. Krótki bardzo czas przedziela Sonatę od Symfonii, a jednak jakiż znakomity postęp w coraz swobodniejszem władaniu myślą!

Zanim jednak zastanowię się chwilę dłuższą nad temi utworami, muszę z góry uczynić jedno zastrzeżenie t. j. że stanowczo zaprzeczam na utwory pana Ż. wpływu Wagnera.

Kompozytor ten genialny w pomysłach dramatycznych, temu też kierunkowi oddał się aż do krańcowości, do uczynienia muzyki niewolnicą sytuacji i słowa, czego ostateczny wyraz znajdujemy w operach jego najnowszych począwszy od Tristana i Isoldy. Niech mi nikt nie bierze za złe wyrazu *niewolnicą*, gdyż ma on swoją zasadę. Wszak i Mozart tworząc don Juana doszedł szczytu dramatyczności, a jednak jakaż swoboda przebija się we wszystkich frazach, a nadewszystko jak wyraziście narysowany charakter każdéj postaci. Takie zespolenie muzyki i słowa stanowi główne i najpiękniejsze zadanie kompozytora dramatycznego. Czuł to genijalny Wagner, a jednak mimo szczytnych miejsc, napotykamy w jego operach zbytek realizmu w muzyce, gdyż chęć określenia sytuacji za daleko nieraz go zaprowadziła. Jest to zresztą ogólny kierunek nowéj szkoły muzyków. Może za nadto się rozszerzyłem, ale nie wziąłem sobie za główne zadanie pisać wyłącznie o panu Żeleńskim, ale wkroczyć też nieco na inne pola. Wracam więc do Wagnera.

Nie można uważać Wagnera za symfonistę, mimo jego *Faust — Uwertury* oraz innych wstępów do Oper. We wszystkich widnieje chęć określenia jak najjaśniéj danéj sytuacji, gdy symfonja zagłębia się na dno ducha ludzkiego i analizuje jego uczucia. Nawet sielankowa symfonija Beethovena, więcej wyraża uczucia budzące się na wspomnienie przyjemności wiejskich, aniżeli maluje samą sytuację zatytułowaną na początku każdéj części.

Forma uwertur Wagnera nie ze wszystkiem jest jasna, a raczéj może niezupełnie swobodna np. wstęp do uwertury z Tanhauzera i powtórzenie go na końcu z figuracją skrzypiec, mimo piękności, jest nieco za długi. Pochodzi to zapewnie z chęci szerokiego traktowania utworu, ale także i ze zbytniego szafowania pomysłami. Pozwolę sobie także zrobić uwagę, że ów brak swobody formy o którym wspomniałem, widnieje bardzo w powiązaniu drugiego motywu z pierwszym po repryzie. Progressyja tam użyta, nieodpowiada warunkom estetycznym, a cechuje tylko dosadnie realne dążności Wagnera.

Faust—Uwertura jest obrazem muzycznym, a z utworów tego kompozytora orkiestrowych, najznakomitszem dziełem, choć również niesymfonicznem, ale dramatycznem. Chęć zarysowania charakterów Fausta i Mefistofila widnieje i w pomysłach i w instrumentacji.

Forma Fausta także nie jest jasną, tak iż wytrawni nawet muzycy są w stanie dopiero po kilkakrotnem usłyszeniu odznaczyć główne kontury. To dowodzi że Wagner w tym kierunku nie czynił studjów długich, i ograniczył się dla tego na dramacie muzycznym.

Wszystko to com powyżéj powiedział o Wagnerze, jest poparciem zaprzeczenia wpływu Wagnera na utwory pana Żeleńskiego. Najprzód dla tego, ze pan Ż. poszedł *czysto* w kierunku symfonicznym i nie wprowadza programu do swych utworów jak to *np.* uczynił Raff w *leśnej symfonii*, lub Rubinstejn w *Don Kiszocie*. Nie można fantazji orkiestrowéj *„w Tatrach* brać za muzykę programową. Jest w niéj tylko chęć uchwycenia charakteru górskiego, miejscowego. Posiada ona zresztą zupełną formę uwertury i może mieć tak samo tytuł uwertury *górskiéj*, jak Gade swojéj dał nazwę *szkockiej*. Pomawianie jednak pana Ż. o intencyje wagneryzmu, pochodzi z niedojrzałości u nas krytycznéj, która nam każe przeczytawszy tytuł, domyślać się koniecznie programu.

„Tatry" posiadają wiele piękności, instrumentowane są poprawnie, oraz zdradzają intencje uchwycenia charakteru narodowego, ale sądzę że to nie leży w naturze talentu pana Ż. Dowodem tego jego Sonata i Symfonja, które ściśle są związane z tradycjami szkoły niemieckiéj.

Zbyt wiele miejsca bym zajął, chcąc szczegółowo rozbierać obie te kompozycje pana Ż. dla tego też zwrócę uwagę na miejsca wydatniejsze i na ogólny charakter.

Sonata pod względem formy jest zaokrągloną i skończoną.

Motywa jeżeli nie są zupełnie oryginalne, są za to wybornie przeprowadzone, choć nie powiem aby były melodyjne uczuciowe i jasne, z wyjątkiem finału. Mnieby się zdawało, że ten brak jasności pochodzi ze zbyt polifocznego traktowania całości, ale dowodzi jednocześnie bogactwa wiedzy autora, i nie jest błędem gdyż niestety dobrych kontrapunkcistów mało teraz na świecie, i najczęściéj w poważnych nawet dziełach spotkać można (a jak często w Wagnerze) oddanie jednéj partji rzeczy głównéj, reszty zaś zostawienie w cieniu, lub też zbyteczne zagłębienie się w harmonijne kombinacje, a przez to pozbawienie samoistności wszystkich partji.

Ale mówiąc o niejasności w Sonacie pana Ż. głównie się zwracam do pierwszego *Allegra*. *Andante* jest prześliczne logicznem przeprowadzeniem myśli głównéj. Zakończenie przez cantabile należy do szczęśliwszych pomysłów i wkracza nawet w dziedzinę liryki, na czém cała ta część bardzo zyskuje.

Finał dobrze wprowadza tonację *E* major co urozmaica utwór. Tu motyw z odcieniem lekkim krakowiaka, bardzo ładnie się rozwija, ale polyfonja i w téj części przemaga. Ogólny charakter Sonaty pokazuje już człowieka, idącego naprzód na drodze samoistności i zdradza jego piękne i szlachetne poglądy na sztukę. Symfonja jest bezwątpienia najlepszem dotąd dziełem pana Żeleńskiego i dała nam już poznać jego talent i naturę.

Charakter jéj jest epiczny, niemal rycerski, osobliwie w scherzo i finale oraz w Andante jakoby marsz żałobny na śmierć bohatera. Jest to poemat, którego tekst każdy według swego punktu widzenia wytłomaczy sobie.

Już sam wstęp daje nam poznać, wielkość w pomyśle. Allegro pierwsze pod względem budowy jest wzorowe, chyba że może w repryzie za nadto dosłownie powtarza się początek. Fugato jest doskonałe i wybornie przeprowadzone. Zbytnia może staranność instrumentacji, równie i to, że pan Ż. mało dotąd miał sposobności słyszeć swoje orkiestrowe utwory, spowodowały iż w tem Allegrze, równie jak i w dwóch ostatnich częściach czuć zbytek instrumentów zwłaszcza dętych.

Scherzo zbyt może pracowicie jest instrumentowane, zbyt wielki jest rozhowor między instrumentami i ztąd niepodobna się w wielu pięknych nawet szczegółach rozpatrzeć. Rzecby można iż autor się starał, aby każdy instrument coś powiedział na swoją rękę, i zdarzało się ztąd, że jeden zacierał figurację drugiego. Trudne zwroty dla fletów zapewnie autor zmieni gdyż nie sprawiają pożądanego efektu. Zdaje mi się również, że zbyt raptownie następuje urwanie figury fletów przed fermatą na pauzie ogólnéj. Trio Scherza wyżéj stawiam od pierwszych części, ale do całości wydaje się za długiém, czego nie będzie, gdy się usunie repetycję.

W *Finale* autor chciał widać włożyć całą siłę, ale mimo to część ta i treścią i formą niedorównywa poprzednim. Motyw zwłaszcza pierwszy, mimo że jest ładny, nie ma oryginalności i nie posiada w charakterze swoim cząstek, któreby były odpowiednie całości dzieła; drugi motyw bez porównania jest lepszy.

W formie pod tym względem jest wadliwość, że ten finał nie posiada jednego punktu kulminacyjnego ale ma ich kilka, ztąd robi wrażenie kilkakrotnego zakończenia. Jestem pewny, że pan Ż. jeszcze raz opracuje całą symfonję, po usłyszeniu jéj w komplecie, to zaradzi i temu zbytkowi pomysłów w *finale*.

Z całéj symfonii pana Ż. odnosimy to wrażenie, że to jest najwłaściwsze pole dla jego talentu, i że mimo uwag jakie za konieczne poczynić uważałem, symfonja jego jest dziełem znakomitem i daje rękojmię że niezadługo i drugą, a potem więcej symfonii młody kompozytor napisze i to coraz doskonalszych. Życzymy mu więc całem sercem szczęścia na tak świetnie rozpoczętéj drodze, i nie można wątpić, że pan Ż. zajmie jako symfonista świetne stanowisko.

Sądzę jednak, że strona dramatyczna nie przedstawia tyle isteresu w utworach pana Żeleńskiego. Pieśni jego ostatnie są ślicznie zrobione, lecz nie posiadają jednéj najważniejszéj rzeczy t. j. jasnej i prostéj melodii. Lirnikiem trzeba się urodzić, tak jak nieodżałowany nigdy Moniuszko. Ztąd nie można mieć pretensji, że w pieśniach pana Ż. jest pewna sztuczność melodji, w tem leżąca, że kompozytor zbyt często z interwałów gammy się oddala, skutkiem częstych modulacji, i jeszcze może częstszych łamań kadencji. Znać tu wpływ Cherubiniego w użyciu np. kadencji za pomocą sekstowego akordu.

Oprócz tego w pieśniach pana Ż. spotykamy często za wysoki nastrój względnie do słów. Weźmy *np.* „Pod okienkiem"—prawda że kochanek przychodzi z namiętną piosenką" ale nie pod okno weneckie, ale poprostu pod skromne okienko. Dramatyczność więc muzyki i deklamacyjne traktowanie melodji za wysokie, za strojne się wydaje do poezji drobnej rozmiarem i treścią. Najpoetyczniejszą pieśnią pana Ż. jest z pewnością. „Posełka". Ileż tu wdzięku i prostoty, a jak mało modulacji i to może stanowi jej przystępność. Piękną także jest pieśń pod tytułem: „Mój kwiatek"dla tego zapewnie, że melodja idzie w interwałach naturalnych. Jestem pewny że pan Ż. z postępem czasu stanie się oszczędniejszym w rozrzucaniu bogactw wiedzy, które tak posiada a natomiast uderzać będzie bardziéj w strunę serdeczną. Wtedy może pieśni jego popularniejszemi się staną i razem z pieśniami Moniuszki stanowić będą ozdobę naszej literatury muzycznej, czego mu szczerze życzymy.

Mam również nadzieję, że uwagi jakie poczyniłem

nad jego dziełami będą mi poczytane za wpływ nie złéj woli, ale życzliwości, a ręczyć mogę, że pochodzą tylko z wrażeń jakie odniosłem, słuchając uważnie i zastanawiając się nad pradukcjiami talentu, będącego dziś w całym swoim rozkwicie.

Określając powyżéj stanowisko Moniuszki w sztuce naszéj, czyż mogłem się spodziewać, że kończyć będę niniejsze uwagi, pośmiertnem wspomnieniem tego mistrza?

Bolesna wiadomość o nagłym zgonie Mioniuszki, wszystkich na chwilę obezwładniła i odurzyła. Nie podobna mi było w pierwszéj chwili zająć się jakowem dłuższem ocenieniem zasług zgasłego pieśniarza; zbyt to była bolesne i zbyt świeża jeszcze pamięć jego pobytu między nami, aby zdobyć się można było na jakiekolwiek refleksje. W pierwszéj chwili w duszy mojéj, brzmiały jak najprzykrzejszy dyssonans dwa wyrazy: Moniuszko umarł! i w dwóch tych słowach tak krótkich, zawierała się cała boleść, i cały krąg rozmyślań!

Moniuszko melodją swoją trafiał w serce każdego z nas bez wyjątku, to tłomaczy ogólną boleść, i to sprowadziło tłumy na smutny choć uroczysty obrzęd pogrzebowy. Ukochał bo on całą duszą tę swojską, ludową muzykę i do tego stopnia dla niéj życie poświęcił, iż zapominał dla niéj o sobie. Najpiękniejszem chyba świadectwem jego charakteru i żywota będą słowa jego, które powiedział do jednego z młodych muzyków: „Nie idzie mi nigdy o to, abym ja sam jeden pracował, lecz o to, aby muzyka *nasza* kwitnęła, i dla tego cieszę się jak młodzi ludzie w tym kierunku kształcą swój talent."

Społeczeństwo nasze chcąc złożyć dowody miłości swojéj dla Moniuszki, czynnie się krząta około zebrania funduszu dla pozostałéj po nim rodziny, również jak i około postawienia pomnika dla naszego mistrza. Niech mi więc wolno będzie poddać pod uwagę ogółu projekt, aby pomnik ten, za stosownem uzyskanem pozwoleniem władzy, mógł stanąć na którym z placów miasta naszego. Byłaby to z jednéj strony dowodem czci dla mistrza, z drugiéj zaś przypominałoby młodemu pokoleniu artystów Tego, który obok genjuszu ciężko *pracował* zanim doszedł do uznania przez ogół. Widok rysów Mistrza możeby dla nich był pobudką do pracy i wytrwałości.

Korespondencja ze Lwowa.

(dalszy ciąg.)

Od politycznej karjery stronił zmarły z powodów, które mu większy szacunek jednały niż tuzin najgorętszych mów parlamentarnych. Postanowienie to powziął już przed dwudziestu laty będąc członkiem parlamentu austryjackiego, a gdy w r. 1861 wybrany został posłem na sejm lwowski, złożył zaraz mandat. Niechęć nie była tego powodem. Zmarły był człowiekiem zasad, od których za żadną cenę niedałby się był odwieść, nawet dla największych chwilowych korzyści. Ta cecha charakteru niezawodnie niepospolita i zaszczytna, robiła go niezdolnym do mieszania się w politykę, która u nas kierować się musi względami chwilowej korzyści, w obec nieustannéj a ciężkiéj walki z germanizatorskiemi zapędami silnéj kliki centralistycznéj w Wiedniu. Nadto jeszcze był zmarły człowiekiem gorącej wiary, i nie mógł patrzeć bez oburzenia na parlament austryjacki, w którym klika centralistyczna nadęta zasadami fałszywego liberalizmu, uderzała ustawicznie gradem obelżywych pocisków zamiast na ultramontanizm wprost na religię, na wiarę! Przywiązanie do religii było u zmarłego tak silnem, że żelaznym hartem uzbrojona wola jego zrobiła raz ustępstwo od zasady niemieszania się w sprawy polityczne. Gdy bowiem w r. 1868 powołany został do izby parów austryjackich, zajął swoje krzesło jedynie dla tego, ażeby w chwili ważnéj dla spraw kościoła stanąć w jego obronie. Na tem jednem tylko posiedzeniu pojawił się książe Lubomirski w izbie wyższéj. Nieboszczyk nie mięszał się także do awanturniczych spekulacji bankowych i giełdowych, które są u nas w modzie. Wiedział bowiem, że ma przed sobą inne opuszczone a tak szlachetne pole do pracy pożytecznéj.

Wspomnienie to zajęło już dużo miejsca a zdołało zaledwie dotknąć głównych chwil z życia i rysów charakteru. Nie mogąc wyczerpnąć obfitego materjału, poprzestajemy na tym urywku dorzucając do niego słowa powtarzane dziś w całym kraju z głębi serca: cześć pamięci tak pięknego żywota!

Wspomnieliśmy o wyborach pierwszych dwunastu akademików. Jest to fakt bardzo doniosły, bo stanowi pierwszy objaw życia najwyższej w kraju instytucji naukowéj. Wybór odbył się z grona członków towarzystwa naukowego w myśl statutu, który dopiero na drugim planie stawia wybór akademików zamiejscowych. O to powstał srogi spór pomiedzy dwoma obozami inteligencji krakowskiéj, bo znaleźli się tacy, którzy żądali by już przy wyborze pierwszych 12 akademików uwzględniono kandydatów zamiejscowych. Spór ten jakkolwiek dużo hałasu narobił w spokojnym Krakowie i dużo krwi napsuł, był wcale niepotrzebnym, bo ostatecznie akademia nie odmówi niezawodnie krzesła zamiejscowym znakomitościom naukowym, a kwestja czy to się stać ma zaraz na wstępie czy dopiero późniéj, jest nadto podrzędną by z tego powodu godziło się waśnić ludzi do żywego.

Najpierw dokonano wyboru członków z oddziału nauk moralnych i archeologii. Wybrani zostali: znakomity profesor filozofii dr. Józef Kremer, poeta dr. Wincenty Pol, profesor historji polskiéj Józef Szujski, profesor historji austrjackiej i autor kilku dzieł cennych z dziejów Polskich Antoni Walewski, profesor ekonomii politycznej dr. Juljan Dunajewski, profesor historji literatury polskiej dr. Karol Mecherzyński, znakomity feiletonista i krytyk Lucjan Siemiński a wreszcie pierwszy bibliograf polski dr. Karol Estreicher.

Ci którzy gorszyli się już samym sposobem przeprowadzenia wyboru, brnęli dalej w opozycji i gorszyli się także nazwiskami wybranych członków akademii. Mianowicie nie podobał się téj frakcji dr. Antoni Walewski, któremu wyrzucano tendencje dzieł, jak gdyby tendencja była już negacją zasługi i uczoności. Dalej niepodobał się dr. Estreicher, którego zawód lekceważono, jak gdyby bibliografia była tylko zabawką albo co najwięcéj dziwactwem. Każdy dział nauki i pracy umysłowéj zasługuje na szacunek, chociażby liczba jego zwolenników i amatorów dała się na palcach policzyć, i w każdym zawodzie praca i wytrwałość przynosi korzyści, tworzy zasługę, któréj należy się zaszczytne uznanie. Dr. Estreicher jest najznakomitszy, bodaj czy nie pierwszym bibliografem polskim, który posiada odpowiednią erudycją i zdolności a prace jego są dziełami pomnikowemi.

O ubiorach.

(Dokończenie).

Pisaliśmy już o kapeluszach tegorocznych po największéj części modelach zagranicznych, które dochodzą do rs. 50, dziś opiszemy kilka tańszych a gustownych, pochodzących z pracowni pani Emilji Szpiner (na Krakowskim Przedmieściu wprost kościoła św. Anny). Biały włosiennicowy wiązany, z retursem na którym w samym środku umieszczono kokardkę z tiulu i wstążek, stanowiącą tak zwane podpięcie. Rondko opasane welonikiem z iluzji białéj haftowanéj; szarfy z szerokiéj białéj wstążki i białe kwiaty umieszczone z prawego boku dopełniały ubrania. Kapelusz biały bastowy z retursem z gazy fru-fru, koloru lila. Z lewego boku kokarda ze wstążek ciemniejszéj barwy, rondko opasane gazą i wstążką. Z prawego boku pęk bratków do cieniu.

Kapelusz biały bastowy, returs podwójny: biały bastowy, i czarny ze wstążki i tiulu. Rondko okolone patkami z czarnego aksamitu i białego bastu, na denku welonik tiulowy czarny z kokardą ze wstążki tegoż koloru, wraz z dwiema różami różowemi i białą egretą.

Kapelusz czarny tiulowy brzeg lamowany wypustką z pąsowego aksamitu; returs czarny, od główki welonik pokrywający całe denko i spadający ze związaniem, ze wstążki. Z lewego boku róża pąsowa z długą gałęzią. Szarfy czarne.

Kapelusz biały włosiennicowy brzeg lamowany czarnym aksamitem i różową i białą wypustką. Rondko ma skręcenie z białéj i różowéj wstążki z lewego boku suta kokarda z białéj wstążki przepasana różową dużą różą.

Z prawego boku od kokardy długie pióro chinée. Biała okrągła bastowa wiedenka (dawniejszy marynarski kapelusz tylko rondko podniesione do góry.) Rondko podbite białym poult de soie, brzeg lamowany czarnym aksamitem, główka opasana wstążką białą.

Z lewego boku rondko podpięte za pomocą sutéj białéj kokardy z końcami i takiejże róży. Kapelusze te ślicznie wyglądają na młodziutkiéj głowie.

Kapelusz „gondolière" z brukselskiéj słomy, lamowany czarnym aksamitem, główka otoczona riuszą z czarnéj koronki. Z lewego boku kokarda ze wstążek, z prawego welonik z dużą ponsową różą.

Oryginalny to fason tych gondoliery; trudno znaleźć osoby, którejby w takim kapeluszu było do twarzy, i dla tego pokup na nich bardzo jest mały.

Cena kapeluszy w powyżéj opisanym magazynie zaczyna się od rs. 7 do 12.

Różne wiadomości.

* *Wykształcenie techniczne.* „Goniec Urzędowy" podał pomiędzy innemi, następujące wiadomości z sprawozdania o stanie oddziału rzemieślniczego przy 1-éj wiackiéj szkole parafjalnéj za 1871 rok. Oddział rzemieślniczy zostaje pod zarządem rady, składającéj się, pod prezydencją etatowego nadzorcy wiackiéj szkoły powiatowéj, z dwóch członków: jednego—ze strony ziemstwa i drugiego—nauczyciela szkoły parafialnéj. Każda zawiaduje wydziałami rozporządzającym i gospodarczym oddziału. Nadzór nad chłopcami podczas ich zajęć i czynności korespondencyjne, prowadził w ciągu roku sprawozdawczego, jeden z członków rady—mianowicie nauczyciel szkoły parafialnéj—bezpłatnie i bezpłatnie także uczył dzieci, przy pomocy majstra—rzemiosła introligatorskiego.

Rzemiosła szewckiego uczą się nie tylko chłopcy, uczniowie szkoły parafialnej, lecz i dziewczęta, uczennice żeńskiej szkoły parafjalnej, ale nie w jednym czasie, tylko w osobno wyznaczone dni. Nauka rzemiosła introligatorskiego odbywała się w czasie poobiednim trzy razy na tydzień: w lecie od godziny 3 do 5, a w zimie od godziny 1 do 3. Rzemiosła szewckiego, tak chłopcy jak i dziewczęta uczyli się po dwa razy na tydzień. W roku sprawozdawczym uczyło się rzemiosła introligatorskiego—46 chłopców, a szewckiego—15 uczniów i 25 uczennic.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 25 r. 1872.

ALBINA.

STUDJUM POWIEŚCIOWE,

Z NOTATEK AUTORA

UŁOŻYŁ

JAN ZACHARJASIEWICZ.

(Dalszy ciąg.)

XVIII.

....Minęło kilka tygodni—pisał dalej autor „wizerunku”.

Tygodni tych szczegółowo opisywać nie będę, chociaż o każdym mógłbym tomy napisać.

Człowiek żyje podwójnem życiem: w rzeczywistości i w wyobraźni.

Tu i tam są fakta, są zwroty i progi, przez które kroczy się do nowych epok życia.

Jedne i drugie są dla niego ważne, a najważniejsze częstokroć te, które dla zwykłego oka są albo wcale niewidzialne, albo zbyt subtelne!...

Nie będę się jednak zapuszczał w tę subtelną oscyllację duszy, która dla wielu byłaby może niezrozumiałą, a ograniczę się tylko na kilku rysach wydatniejszych.

Kilka tygodni minęło.

W tych kilku tygodniach miała się wytworzyć cała przyszłość moja,.... dla tego w tych kilku tygodniach przeżyłem kilka lat — co mówię, całe życie moje!

Co z tych tygodni pozostało, były tylko resztki, zwęglone niedopałki rozkosznie płonącego ogniska!..

W tym czasie przebyłem wiele, bardzo wiele!

Każdy dzień podnosił lub przygniatał moje marzenia, stosownie do tego, com widział lub słyszał.

Często przepędziłem noc bezsenną, nie mogąc utulić się w smutku, który był tylko jakiemś złowrogiem przeczuciem!

Tak samo znowu przeczuwałem noc całą, gdy jakaś nieokreślona radość rozgrzewała krew moją!

Miranda była dla mnie pełna dobroci. Uważałem, że śledziła nieraz moje pragnienia i odgadywała je. Największą było wtedy dla niéj radością, uczynić zadość tym drobnym zachceniom moim.

Nieustanne towarzystwo szambelanowéj nie pozwalało mi wyraźniéj okazać jéj moje marzenia, chociaż z jéj strony nie brakowało do tego zachęty.

Po kilku tygodniach zaszliśmy prawie do tego samego stosunku, jaki był między nami za czasów ś. p. pułkownika.

Śpiewaliśmy, malowaliśmy i grali razem. Pan Manswet rad patrzał na nas, szambelanowa podziwiała moje talenta i cieszyła się, że Miranda z nich po trosze korzystać może.

Pan Manswet tak się zakochał we mnie, że każdemu swemu znajomemu przedstawiał mnie jako najlepszego gracza w wista! Był to jedyny mój charakter, po jakim znała mnie większa część towarzystwa, zbierającego się w salonach pana Mansweta.

Mimo to jasne niebo moje miało także groźne chmury.

Pomiędzy otaczającymi Mirandę był także ów młody człowiek, krewny tego jegomościa w peruce.

Ten człowiek draźnił mnie swoją obecnością, chociaż dla mnie był bardzo przyjacielski i grzeczny. Miranda także, jak mi się wydawało, niepoświęcała mu zbytniéj uwagi. Była dla niego grzeczną i uprzejmą jak dla każdego. Nie widziałem na jéj twarzy nigdy żadnego żywszego wzruszenia gdy z nim rozmawiała.

I on nie wydawał mi się niebezpiecznym. Był wprawdzie bogaty i bardzo ładne miał wykształcenie, jednak nie okazywał względem Mirandy napozór żadnych zamiarów.

W rozmowie był dowcipny, ale oraz za obojętny. jakby na starającego się przystało. Przekonałem się, że osobiste swoje wygódki przekładał często nad obecność Mirandy i zabawę z nią. Był zawsze jednostajnie ożywiony, czy go spotkałem w cukierni Loursa, czy obok Mirandy, która do niego rozkosznie szczebiotała.

Mimo to głos publiczny uważał go, za starającego się o rękę Mirandy. Ja zaś za takiego uważać go nie mogłem czy nie chciałem.

Sytuacja moja stała się w końcu dla mnie nieznośną. Bądź co bądź chciałem przeciąć ten węzeł gordyjski, nad rozwiązaniem którego daremnie się siliłem.

Jakoż wkrótce nadarzyła się sposobność.

Raz podczas obiadu weszła przez garderobę młoda kobieta, ubrana z pewną pretensją. Twarz jéj prócz zdrowia i siły fizycznéj nie miała żadnego wyższego wyrazu. Ruchy jéj były za mało swobodne.

Zmieszała się widocznie, gdy prócz kółka rodzinnego kogoś obcego obaczyła, pocałowała w rękę pana Mansweta i szambelanową, i kilka kroków od stołu stanęła.

— Ach! Ludwika! Jak się masz? zawołał pan Manswet i z pewnem znaczeniem spojrzał na szambelanową, a potem na Mirandę.

Szambelanowa zaczęła coś mówić o pannie Walerji (była to panna-służąca) ale przerwał jéj pan Manswet.

— Niech Ludwika przy stole z nami usiądzie, rzekł z dobrym humorem.

— Siądź panno Ludwiko przy mnie, ozwała się Miranda i rzuciła mi wejrzenie figlarne.

Nie zwracałem wielkiéj uwagi na ten przybytek dzisiejszy, bo byłem w duchu zajęty moim planem, rozmówienia się ostatecznie z Mirandą.

Zdaje się, że dzień dzisiejszy sprzyjał mi do tego.

Zaraz bowiem po obiedzie rozeszło się całe towarzystwo prócz Mirandy.

Pan Manswet poszedł na drzemkę poobiednią, szambelanowa z długim listem w ręku poszła za niego pisać odpowiedź, a tak zwana „panna Ludwika” odeszła do garderoby, aby się z panną Walerją nacieszyć.

Nie mogło być lepszéj sposobności dla mnie.

Miranda siedziała na fotelu, a patrząc na mnie z uwagą, widocznie coś sobie w główce układała.

Po chwili, gdy już wszyscy wyszli, zrobiła giest ręką, abym się zbliżył i koło niéj usiadł.

Byłem pewny mego szczęścia, a serce o mało nie rozbiło mi piersi, tak zaczęło bić gwałtownie.

— Pani wyzywasz mnie dzisiaj do nadzwyczajnéj śmiałości! rzekłem do niéj zaraz na wstępie.

— Spodziewam się, że na tę śmiałość już dawno zasłużyłam sobie! odpowiedziała z czarującem wejrzeniem, w którem wszystko było dla mnie.

Schyliłem się i ucałowałem tę piękną, marmurową rączkę z całym ogniem.

Miranda nie broniła mi tego, ścisnęła mnie za rękę i rzekła żartobliwie:

— Jako zwykła kobieta mogłabym zazdrościć tak gorącego uczucia, które jeszcze czuję na moj́ej ręce...

— Dla pani—nie ma rywalki na całym świecie.

— Za daleko żarty nasze posuwamy, a ja właśnie chcę z panem dzisiaj mówić poważnie!

— Słowom moim nie brak powagi, chociaż może wyrażam się zbyt trywialnie. Przepraszam panią!

— Cofnij się pan myślą w naszą obopólną przeszłość!

— W niéj żyję i nią oddycham—oprócz téj obecności, w któréj ta przeszłość dla mnie się odradza!

Miranda zmierzyła mnie teraz pełnem okiem. Na jéj blado-różowéj twarzy igrał lekki uśmiech, wewnętrznego zadowolenia, ubrany wyrazem rzewnéj łagodności.

— I cóż ta przeszłość panu mówi? zapytała po chwili.

— Przeszłość ta, odpowiedziałem, mówi mi, że bez niéj nie ma dla mnie żadnéj przyszłości!

— Czyż można przeszłość z przyszłością tak razem związać?

— Są one dla mnie nierozdzielne!

— Ach! Jak ekscentrycznym marzycielem pan jesteś?

— Cóż pani nazywa marzeniem?

— To, czego w rzeczywistości nigdy nie ma.

— Nie zgodzę się na to. Marzenie jest urabianiem sobie pewnych ideałów życia, a obowiązkiem naszym jest, dążyć o ile nam sił starczy, za tymi ideałami.

Miranda zamyśliła się i lekko potem westchnęła.

— Pan kładziesz przedemną rzeczy tak ponętne, od których już dawno odwykłam! rzekła cichym głosem.

— Odwyknąć od tych rzeczy, jest — samobójstwem!

Miranda pomyślała chwilę,potem złożyła usta do uśmiechu i rzekła:

— Nie, panie Czesławie, nie mówmy tak! Tamto było za żartobliwe a to znowu jest za nadto tragiczne! Trzymajmy się środka! Inaczéj ucieknę!

I piękną jéj twarz okrasił w téj chwili uśmiech tak figlarny, że byłbym znowu wycałował tę drobną marmurową rączkę, gdyby się nie była skryła w gęste koronki.

Westchnąłem całą piersią, aby gotującą się tam lawę powstrzymać i w zły czas nie wybuchnąć.

— Gdybym przypuszczał, że pani możesz być tak okrutną... zacząłem.

— Nie kończ pan daléj! zawołała, przyłożywszy różowy paluszek na usta—zkąd masz pan prawo do tak okropnych przypuszczeń? Czy dałam panu jakie dowody, abyś pan w ten sposób myślał o mnie?... I to jeszcze podejrzywasz mnie pan o taką okrutność w téj chwili, kiedy ja.... dla pana takie szczęście z całéj duszy gotuję?...

— Dla mnie gotujesz pani szczęście! krzyknąłem głośno—dla mnie szczęście! A jam taki nie-

wdzięczny... ja trapię się czarnemi przywidzeniami..... O stokroć dzięki... stokroć....

Tu sam nie wiem jakim sposobem zsunąłem się z fotelu i ukląkłem przed Mirandą....

Miranda zmieszała się, powstała, a słysząc stąpanie ojca w gabinecie rzekła do mnie:

— Panie Czesławie! Idź pan do ojca — on panu resztę dopowie—zaufaj mu pan!

Powiedziawszy to z pewną gorączką, znikła odemnie jak widmo.

Wtéj chwili zjawił się pan Manswet na progu.

Pan Manswet zbliżył się do mnie i stał dobrą chwilę przedemną, nim do siebie przyszedłem i obaczyć go mogłem.

— Zapewne drzemałeś trochę rzekł do mnie przecierając oczy—zdrzemnąć po obiedzie nie zawadzi.

Porwałem się na nogi, aby jeszcze więcéj przyjść do przytomności, któréj teraz tak wiele potrzebowałem.

Była to dla mnie chwila stanowcza.

Miranda roznieciła szeroko moją nadzieję, w chwili stanowczéj, jak zwykle kobieta, wymknęła się odemnie, i kazała ojcu resztę dokonać, uprzedzając mnie abym z całą ufnością do niego się udał!

Czy był kto w téj chwili szczęśliwszym nademnie?

Dziwny dreszcz przebiegł po całem mojem ciele.

Nie mogłem nawet dobrze objąć mojéj sytuacji, nie mogłem żadnych przeszkód widzieć przed sobą, bo przedemną jaśniała teraz w całéj glorji: Miranda.

Nie wiedziałem jednak naprędzce w jaki sposób zacząć tak wielką sprawę.. Uprzedził mnie pan Manswet.

— Nim do wista siądziemy, rzekł do mnie poziewając, pomówimy z sobą o pewnéj ważniejszéj sprawie. Czy ci Miranda nic nie wspomniała?

— Panna Miranda jest dla mnie... zacząłem.

— O! Miranda jest dla ciebie tak życzliwą, przerwał pan Manswet poziewając jeszcze głośniéj.

— Jéj serce...

— Ach! Złote ma serce!..

— Z tego powodu odważam się mieć nadzieję...

— Możesz mieć najzupełniejszą! Złote, nieocenione serce! Ona ci bardzo sprzyja!

— Tyle szlachetnego uczucia.

— Mówię ci, więcéj niżeliby wypadało!

— Tak wielkie szczęście dla mnie gotuje ..

— Otóż o tem szczęściu chce z tobą teraz pomówić!

Stałem nieruchomy. Wszystkie moje nerwy były wyprężone jak struny.

— Ale siadaj—i pomówmy.

Siadłem machinalnie i wlepiłem oczy w pana Manswetа, który jeszcze ziewać nie przestał.

— Myślałem nieraz o nieboszczyku pułkowniku, zaczął po ostatniem ziewnięciu pan Manswet, przychodził mi także i twój ojciec na myśl. Znałem cię dzieckiem, gdyś odprowadzał pułkownika do mnie i powiem ci szczerze, że już wtedy podobałeś mi się!

Chciałem w téj chwili upaść do nóg pana Manswetа, chciałem uściskać jego kolana... bo czyż mogłem po tych słowach wątpić jeszcze o moich nadziejach?

Nie wiem dla czego tego nie uczyniłem, ale jakaś wyższa siła zatrzymała mnie na fotelu.

— Podobałeś mi się, ciągnął dalej pan Manswet, i dla tego ucieszyłem się mocno, gdym cię po wielu latach spotkał tutaj jako człowieka dojrzałego!

Tu zatrzymał się pan Manswet i spojrzał na mnie z uwagą. Zapewne coś korzystnego dla swoich zamysłów z mojéj twarzy wyczytał, bo zaraz dalej mówił:

— Chciałbym więc dla pamięci nieboszczyka półkownika i dla samego ciebie coś zrobić, za co wyjednałbym sobie u ciebie przyjaźń i dożywotnią partję wista.

Humorystyczny zwrot rozmowy nie popsuł mi bynajmniej moich złotych marzeń. Uśmiechnąłem się nawet do téj „dożywotniéj partji wista“ z taką rozkoszą, że pan Manswet z równąż rozkoszą wziął mnie za ramię i mówił dalej.

— A do tego będziesz miał żonę jak rajskie jabłko!

Nie mogłem już powstrzymać mego afektu. Pochyliłem się do pana Manswetа i ucałowałem mu rękę powyżéj łokcia.

— A więc słuchaj teraz całego interesu, rzekł pan Manswet z ożywieniem.. Znasz te sto morgów wykarczowanego lasu który przytyka do twoich łąk mizernych... Otóż te sto morgów dałem w tych dniach za długoletnią służbę kucharzowi Kasprowi.

— Po cóż tu kucharza Kaspra? zawołałem zdziwiony.

— Bo widzisz.. panna Ludwika, którą widziałeś dzisiaj, to jego córka. Zapewne widywałeś ją w Jedlnéj małą dziewczynką, która czasem Mirandzie posługiwała...

— Panna Ludwika? powtórzyłem machinalnie!

— Poczciwa, dobra dziewczyna, gospodyni co się zowie... i jak widziałeś, nawet do ludzi umie się garnąć.

— Umie się garnąć! powtórzyłem jak echo.

— Jeżeli więc te sto morgów połączysz z twemi łąkami, możesz wyśmienicie zaokrąglić małą swoją fortunkę...

— Zaokrąglić fortunkę!—powtórzyłem machinalnie ostatnie słowa pana Manswetа..

Nie wiedziałem sam co się ze mną dzieje.

Miałem szum w uszach i szum w głowie, jakby chmura szarańczy przezemnie przelatywała.

Porwałem się na nogi, czułem że mi wszystka krew do głowy uderzyła.

— Nie spodziewałem się, wyrzekłem z całą namiętnością, że mi pan możesz zadać tak głęboką ranę!

— Zadałem panu ranę? Nie to być nie może. Najprzód interes jest dla pana bardzo korzystny—a co do samego przedmiotu, nie wiedziałem że demokratyczne zasady dziewiętnastego wieku, pan zechcesz kompromitować!

Zacisnąłem zęby aby w téj chwili nie wybuchnąć odpowiedzią którąby dla pana Manswetа nie bardzo korzystnie wypadła!

Pan Manswet mówił dalej.

— Myślałem że w sposób patryarchalny wyprawię dwa wesela—a tak pozbawiasz mi pan jednéj przyjemności!

— Dwa wesela? zapytałem prawie bezprzytomnie.

— Dwa wesela.. Mirandy z panę X*** a pana....

Osłupiałem teraz zupełnie...

Pan X*** był to ów kuzynek tego jegomości z peruką.

— Ale otóż i Miranda, ciągnął daléj pan Manswet, zostawiam jéj resztę interesu. Może pod urokiem kobiecym będziesz pan inaczéj rzecz widział!.. Do widzenia się — tymczasem przygotuję karty do wista.

Zaledwie pan Manswet kroki swoje ku drzwiom gabinetu zwrócił, weszła do salonu Miranda.

Trzymała w ręku spory zeszyt nut nowych, które zapewne w téj chwili księgarz nadesłał.

I z właściwym sobie uśmiechem na blado-różanéj twarzy, zbliżyła się do fortepianu i zaczęła systematycznie układać nuty, aby między niemi wygodne miejsce zrobić dla nowych.

Patrzałem na nią okiem idioty, bo sam dobrze nie wiedziałem co się ze mną stało.

Skończywszy porządkowanie nut, odeszła Miranda wolnym krokiem od fortepianu i zbliżała się do okna, przy którem właśnie jak posąg stałem.

Usiadła w tym samym fotelu z którego przed chwilą powstała, i zrobiła ręką ten sam gest co dawniéj, abym koło niéj zajął miejsce.

Machinalnie usiadłem koło niéj.

W téj chwili przestałem być samym sobą, zapomniałem że jestem mężczyzną.

Gorący jak lawa strumień łez wytrysnął mi z oczu.

Zasłoniłem twarz rękoma i zacząłem płakać, gorzko płakać!

Miranda odsunęła swój fotel w ten sposób, że z profilu mogła mnie widzieć i w milczeniu patrzała na mnie czas niejaki.

Jéj twarz blado-różowa zasępiła się lekką chmurką.

— Pan mi sprawiasz smutek, rzekła po chwili, a jam myślała że razem z panem cieszyć się będę.

Gdym usłyszał ten głos, ustały nagle łzy moje. Oprzytomniałem i wstyd mi było mojéj słabości.

Otarłem szybko twarz, przybrałem nawet na usta jakiś uśmiech dziki i rzekłem z uśmiechem:

— Czy to prawda że pani idziesz za pana X***?

— Iść jeszcze nie idę spokojnie odpowiedziała Miranda. ale panu jako dobremu przyjacielowi mogę wyznać, że ma się ku temu!

— A cóż pani z tym „dobrym przyjacielem“ zrobi?

— Dobry przyjaciel pozostanie nadal tem czem był, jeśli to sprawia mu niejaką przyjemność i jeśli nasze zamiary dla siebie należycie uzna!

— Czy pani masz na to dowody, że pan X* panią kocha?

— Pan X** jest człowiekiem wykształconym i ma dobrą rutynę życia.

— Czy wiesz pani, że przed poznaniem pani oglądał ze swoim wujaszkiem Jedlnę?.

Miranda chwilkę z niejakiem zadziwieniem patrzała na mnie, potem odparła z uśmiechem:

— Dowodzi to, że nie chciał rozpocząć kampanii lekkomyślnie.

— Co pani nazywasz kampanią?

— Staranie się o rękę panny!

— Czyż do tego nic innego nie trzeba, jak tylko plan dobrze obmyśleć?

— Nie wiem co pan rozumiesz pod tem wyrażeniem „dobrze obmyśleć“! Zdaje mi się, że od dobrego obmyślenia każdego naszego kroku zawisła nasza przyszłość! Zresztą to „dobre obmyślenie planu“ daje i nam równe prawo do tego.

— Jakto, więc i pani przed rozpoczęciem kampanii poinformowałaś się dostatecznie o majątku pana X***?

— Nie czyniłam tego sama, ale uczynił to mój ojciec za moją wiedzą.

— Więc uważasz pani małżeństwo za rodzaj spółki, złożonéj starannie za informacją agentów?

— Czegoż pan używasz wyrazów handlowych?

— Bo w takim razie sprawa małżeństwa jest sprawą kupna i sprzedaży!

— W świecie moralnym tych wyrazów nie używa się, chociaż istota może być ta sama.

— Więc pani sama przyznajesz?

Miranda ożywiła się tutaj i wzięła mnie za rękę.

— Panie Czesławie, rzekła do mnie, zasmucasz mnie pan tak ekscentrycznym poglądem na świat i ludzi. W poglądzie takim leży zaród wielkiego nieszczęścia!

— Poglądu zmienić nie mogę, i nieszczęścia też nie odepchnę!

— Chciej pan tylko trzeźwem okiem na świat rzucić! Cóż pan tam widzisz?

— Widzę bardzo wiele złych ludzi, którzy złemi idą drogami ale to bynajmniéj nie obowiązuje mnie iść razem z nimi!

— Pomyśl pan tylko czemże jest to życie?

— Bogaci robią sobie z życia zabawkę, biedni— obowiązek.

— Dobrze, ale przyznasz pan że każdy powinien być tem, co w swojéj sferze zastanie!

— To jest filozofia całego stworzenia— w krainie zwierząt!

— Słowa te dowodzą tylko że pan cierpisz... imaginacją!

— Imaginacją?.. Cóż pani nazywasz imaginacją!

— To wszystko co się sprzeciwia rzeczywistym stosunkom życia!

— A rzeczywiste stosunki życia?

— Są te, któremi ludzie żyją od lat tysiąca!... Niech pan tylko dobrze pomyśli nad własnem dotychczasowem życiem!.. Czyż nie składa się z drobnych włókien owych codziennych stosunków ludzkich? Czyż te stosunki nie wypełniają nam życia? Czyż moglibyśmy długo egzystować bez takich stosunków?...

— A praca?

— Nie wszystkim nadano pracę!

— Teraz układa mi się cały system filozoficzny, jakim pani zamyślasz powodować się w życiu. Masz pani dostatki, więc dla wypełnienia życia, potrzeba tylko stosunków światowych. Ponieważ powiększenie tych stosunków zwiększa także to mniemane szczęście, więc łączysz się pani z człowiekiem bogatym, aby atmosferę życia rozszerzyć!

— Być może, że ostatecznie na to wychodzi! Nikt temu nie winien, gdzie się urodził!

— A ja pani powiadam, że to jest tylko własne łudzenie się. Życie wyobrażasz pani sobie, jak uczeń anatomii, człowieka. Widzi on to co mu profesor w sali anatomicznéj okazał, widzi najprzód skórę, pod skórą nerwy, żyły i muszkuły, daléj kości i szpik w nich... i powiada, że w człowieku nic więcéj nie ma!... Człowiek to nie trup leżący na stole anatomicznym—życie to nie owa misterna tkanka codziennych stosunków i stosuneczków, ów rejestr obiadów, herbat i rautów.... bo to wszystko nie wystarcza do życia człowieka, a tem mniéj kobiety, która prędzéj czy późniéj odpokutuje za t›, czemu się sprzeniewierzyła!

Miranda powstała z fotelu.

— Odchodzisz pani!.. rzekłem biorąc ją za rękę— weź więc z sobą na drogę życia wyznanie bez żadnych nadziei i widoków, wyznanie człowieka, który od dziecka kochał cię całą duszą, któremu przed śmiercią lepszéj swojéj istoty byłaś wzajemną, a którego dzisiaj nowéj filozofii życia poświęcasz!... Niech ci to wyznanie nie zawadza w życiu, bądź szczęśliwa, bo w szczęściu nigdy o tem wyznaniu nie wspomnisz.... ale strzeż się jakiego bądź nieszczęścia, bo w nieszczęściu wystąpi ta chwila ognistem pismem w pamięci twojéj, aby cię palić nieustającem pragnieniem aż do grobu!..

Miranda podniosła rękę do góry, jakby się bronić chciała i odstąpiła dwa kroki odemnie....

W téj chwili wszedł lokaj i zapowiedział pana X***.

Korzystając z tego, wyszedłem szybko z salonu, zostawiając pana Mansweta w złudnéj nadziei poobiedniego wista i wyprawienia dwóch wesel na raz!"

. . . .

Na tem kończył się „wizerunek".

W rękopismie było jeszcze widocznie kilkanaście kartek, ale te były wydarte.

XIX.

Po uważnem odczytaniu tego manuskryptu przyszedłem do przekonania, że on nie zawiera artystycznéj fikcji, ale własne dzieje piszącego.

Powody do takiego mniemania były jasne. Najprzód „wizerunek" ten odbijał od innych próbek literackich, nie tylko samym pomysłem ale też i wykończeniem względnem.

Każdy człowiek prawie, opisując własne swoje dzieje, jeśli one nie były powszednie, napisze je mimo swojéj wiedzy, z pewnem uwzględnieniem sztuki.

Inaczéj się jednak rzecz okaże, jeśli wystąpi jako pisarz-artysta. Nie mając potrzebnego namaszczenia odsłoni na każdym kroku braki talentu.

Tegoż samego człowieka inne próbki literackie, pozostały pod względem wymagań artystycznych daleko po za „wizerunkiem". Były mierne próbki dyletanta podobne do jego obrazów niedokończonych!

W „wizerunku" umieścił autor siebie samego, wypowiedział co sam czuł i bolał—miał do tego materjał we własnéj duszy! Dla tego też ten wizerunek wyszedł względnie lepiéj od innych próbek.

Na tem więc gruntowałem moje przekonanie, że „wizerunek" ten jest niejaką spowiedzią piszącego.

Stwierdziwszy to, nietrudne już było przypuszczenie, że Mirandą nie może być kto inny jak tylko Albina.

Bliższe informacje, jakich w tym względzie od wdowy i Aspazji zasięgłem, niewypowiadały tego wprawdzie wyraźnie, ale potwierdziły mnie w mojem domniemywaniu. W ogóle Aspazja była nader powściągliwą co do żądanych przezemnie wyjaśnień, chociaż widocznie było, że sama podawała mi pośrednio nici do ręki.

Jaki w tem cel miała? nie mogłem odgadnąć.

Od wdowy wiele dowiedzieć się nie mogłem. Była to prosta kobieta, która mówiąc o nieboszczyku utyskiwała zawsze, że nie poszła za wysłużonego kucharza, który ma pod Powązkami zyskowną bawarję!

Niewyjaśnionem było jeszcze dla mnie, jakim sposobem nieboszczyk przyszedł do téj kobiety, która żyła w świecie zupełnie mu obcym.

Mimo tych wszystkich braków w rozwijającéj się przedemną historji kilku ludzi, widziałem przed sobą szerokie fale różnych moich obserwacji, na których w pierwszym planie stała niepojęta dla mnie kobieta—Albina!

Przypomniałem sobie najprzód ową adorowaną powszechnie gospodynię pysznego w stolicy salonu, która wydała mi się najszczęśliwszą z kobiet.

Potem przesunęło mi się przed oczy owo spirytystyczne widmo, które w postaci płaczącéj Nioby stanęło przedemną!.

Wtedy wyrzekła Albina wyraźnie, że jest najnieszczęśliwszą z kobiet!...

Czyż miałoby to być prawdą? Czy pod tym porywającym uśmiechem kryją się łzy, których nikt nie widzi?...

I znowu w nowym obrazie stanęła mi przed oczy, jako główna figura owego dyplomatycznego obiadu, o którym tyle sprzecznych rzeczy mówiono w stolicy!

Czyż to być może, aby kobieta w tak dramatycznéj perypecji życia pokazała się widzom z tym samym uśmiechem, z tą samą pogodą na twarzy?...

Jakież czynniki życia działają w tem ciele, które tyle ma uroku dla otaczających?..

Z takiemi myślami i pytaniami nosiłem się przez kilka tygodni, widziałem prawie co kilka dni Albinę, pana Karola, hrabiego Adolfa, panią Kamillę wraz z mężem i pannę Aspazję, ale w ostatecznem rozwiązaniu moich zagadek ani na krok nie postąpiłem.

Tymczasem opinja publiczna co do ostatnich wydarzeń zaczęła się zupełnie uspakajać.

Obiad dyplomatyczny u państwa Karolów, przeciął jednym zamachem wszystkie złośliwe domysły, co do mniemanego pojedynku.

Osobliwie ludzie stojący blisko osób działających, wzięli sobie teraz za zadanie, prześladować opinję publiczną za jéj fałszywe fabrykaty, wystawiając wymyślony przez nią pojedynek, jako owoc niedowarzonéj fantazji próżniaków miejskich.

Opierali się przytem na faktach bijących w oczy. Albina bowiem z mniemaną rywalką, przejeżdżała się teraz prawie codziennie w otwartym powozie zacząwszy od Zygmunta aż do rogatek belwederskich.

Wszyscy mogli ją widzieć, podziwiać jéj dobry humor i nadzwyczajną przyjaźń, jaką zawsze i wszędzie okazywała dla swojéj mniemanéj rywalki.

Pan Karol obwoził znowu w swoim angielskim faetonie nie tylko hrabiego Adolfa ale nawet i otyłego pana Awita, który nawet z wielkiego szczęścia i zadowolenia widocznie na tuszy przybierał i coraz więcéj się pocił!

Pan Awit znowu za te przejażdżki traktował u siebie hojnie swoich przyjaciół, między którymi na pierwszem miejscu byli pan Karol i hrabia Adolf.

Najzawziętsi obrońcy opinii publicznéj zachwiali się, gdy otrzymali wiadomość, że pan Adolf daleki od wyzyskiwania stosunków przyjacielskich, dosyć otwarcie zawiązał sojusz z pewną uczennicą choreografii i ją w swoim kabrjolecie po lesie bielańskim obwoził!

Słowem, mniemany pojedynek i wszystko to, co z tym pojedynkiem jakąkolwiek styczność miało, rozwiało się w jakąś baśń mityczną, o któréj tylko mgliste wspomnienie zostało.

Tak stały rzeczy, gdy w przytłumionem starannie ognisku, rozżarzyła się ukryta iskra i zagroziła znowu nowym płomieniem.

XX.

Towarzystwo nasze powieściowe rozbawiło się właśnie jak w najlepsze.

Karnawał z prozaicznemi tańcami przeminął, a nastąpiły dni wielkopostne.

Skakać podług taktu muzyki kto bądź potrafi, ale urządzić raut wielkopostny, i gości na nim zabawić, należy zawsze do wyższéj sztuki.

Tu już więcéj jak tylko nóg potrzeba. Potrzeba najprzód głowy, potem trzeba aby ta głowa miała należyte wykształcenie, dowcip i t. p. rzeczy towarzyskie. Potrzeba niepospolitego talentu ze strony gospodyń, aby cały wieczór czemś zapełnić, choćby go dopiero o jedenastéj rozpoczęto.

To też karnawał ma swoje bohaterki i bohaterów, a rauty wielkopostne swoich. Zmieniają się figury jak aktorowie na deskach teatralnych.

W karnawał przy tańcach, zbliżają się panny i kawalerowie do siebie—na rautach wielkopostnych następuje staranne obrachowanie tego zbliżenia, a w uroczystem skupieniu ducha czekają matki i stryjaszkowie rezultatu tego obrachunku.

(d. c. n)

MARZENIA GILBERTY

OPOWIADANIE

Amadeusza Acharda.

(Dalszy ciąg.)

— W tem miejscu ciągnęła dalej pani de Villepreux—przychodzi mi dotknąć wielce drażliwej strony życia i nie wiem czy bym lepiej nie uczyniła, nie uchylając w zupełności zasłony która ją dla ciebie okrywa. Jednak ponieważ ztamtąd właśnie nie jeden cios może cię czekać, lepiej będzie abyś i w te mętne tonie ze mną zajrzała. Krótko wzrok twój na nich zatrzymam,—to wiedz tylko, że istnieją na świecie kobiety, będące wrogami wszelkiego spokoju. Gdzie one przejdą—próżnie i pustkowie za sobą zostawiają...jeśli ręka ich nie zagrabi mienia, z pewnością dobrą sławę zabierze. Za niemi, same tylko gruzy i popioły. Ojciec twój napotkał był jedną z owych kobiet. Wychowana wśród pieszczot zostałam codzień żółcią pojona. Nieprzygotowana do tych walk i cierpień bezustannych, samotna i bezsilna, umiałam tylko płakać nad tem co było dla mnie niepojętym zawodem wszelkich nadziei, zdradą ufności i wiary z jaką w życie wstąpiłam. O! ileż łez wylałam, wśród bezsennych nocy nad kołyską twą spędzanych! — Na toż jej życie dałam, aby kiedyś te same przechodziła koleje? powiadałam sobie z goryczą. Chwilami ból stawał się we mnie wściekłością. Słaba jak dziecię w obec tak ogromnej niedoli, umiałam tylko płakać lub też przeklinać. Ale czas i długie osamotnienie przyniosły mi wreszcie pewne uspokojenie. Nauczyłam się myśleć i rozważać. Ztąd wyniknął kierunek jaki nadałam twojemu wychowaniu. Przebacz mi drogie dziecię, to co nieraz surowością wydawać ci się mogło; hartując cię tak wytrwale, miałam nieustannie na pamięci wspomnienia owej rozpaczy, w której obłędzie jakże bliską już byłam samobójstwa!

— Co mówisz? ty matko? zawołała z trwogą Gilberta.

— Tak jest—przytomność prawie mię już odbiegła. Pamiętam wyraźnie tę chwilę—zaledwie się z łóżka podniosłszy po ciężkiej chorobie, przebyć musiałam zajście podobne temu, którego traf uczynił cię świadkiem. Znękana, zrozpaczona spojrzałam wypadkiem na flaszkę z kroplami, które mi dawano dla uspokojenia nerwowych cierpień. Pochwyciłam ją, wiedziałam że w niej się mieści moje wyswobodzenie. Już ją do ust zbliżałam drżąca od radości, kiedy znagła drzwi pokoju się otworzyły i tyś wbiegła, spłakana od dziecęcego jakiegoś smutku i rzuciłaś się w matki objęcia, żeby przed nią się pożalić. W jednej chwili zapomniałam o mojej rozpaczy....ciebie tylko widziałam, wszystko inne pierzchło gdzieś daleko. Jakto? mogłabyś kiedyś zapłakać, a mnie by nie było, do ukojenia ciebie i upieszczenia? Rzuciłam z dreszczem flaszkę którą w ręku trzymałam, i przytuliłam cię do serca z gorącą modlitwą. Łzy twoje dziecięce dały mi na całe życie siły do walki.

Śmiertelna bladość powlekła twarz Gilberty. Nie mówiąc ani słowa, ucałowała obie ręce matki. Pani de Villepreux mówiła dalej;

— Czy rozumiesz teraz, moje dziecię, dla czego nie wspominałam dotąd przed tobą o tej okropnej przeszłości? Jak ci to już powiedziałam, przyszła chwila w której pojęłam, że tylko stanowczy opór z mojej strony, mógł cośkolwiek ocalić z twojego mienia. Zdobyłam się na niego po raz pierwszy, i nazajutrz wysłałam cię do Niederbrühle. Potem, widywałam już tylko niekiedy twojego ojca. Coraz rzadszym stawał się gościem w domu. Nie użalałam się na to; sam głos jego przejmował mię trwogą wiedziałam bowiem aż nadto, ile starć przyjdzie mi jeszcze wytrzymać. To na które z ogrodu patrzyłaś, było najstraszliwszem i ostatniem. Odtąd nie widziałem więcej męża. Pewnego wieczoru, przyzwana telegrafem do Paryża, zastałam go bliskim zgonu, krwią zalanym, w nieznanem jakiemś pomieszkaniu pełnem odurzających woni. Na widok mój, coś podobnego do uśmiechu rozjaśniło niby twarz jego, już oblaną potami konania. Zdało mi się że ręka jego z lekka moją uścisnęła, a usta wyszeptały słabe dźwięki w których było może moje imię. Na tem się wszystko skończyło. W godzinę później na łóżku na którem go złożono, martwe już tylko zwłoki leżały. Zaraz potem sprowadziłam cię do siebie, drogie dziecię. Nie mam nic więcej do dodania, znasz teraz dokładnie moją przeszłość.

V.

Opowiadanie to sprawiło głębokie wrażenie na umyśle Gilberty. Myślała o niem przez noc całą: miejscami smugi światła przeszywały ciemności pośród których krążyła dotąd omackiem jej ciekawość, ale światłość to była ponura i złowroga: Istniały więc niedole przeciw którym nic nie mogły ani cnota, ani tkliwe poświęcenie? Obca jakaś kobieta potrafiła odnieść zwycięztwo nad jej matką, młodą, piękną, bogatą we wszystkie dary mogące podbić serce człowieka? Jakąż bronią walczyła owa nieznana istota? Cóż więcej mogła posiadać? Dumania Gilberty w dziwne jakieś otchłanie zapadały. Pewnej nocy, widziała we śnie przemykające się przed nią świetlne jakieś widziadła, jaśniejące zdradliwemi czary i unoszące z sobą z szybkością burzliwego podmuchu, wybladłą postać jej ojca. Potem, obraz ów rozpływał się we mgle a natomiast Gilberta spostrzegała Rogera, spoglądającego smętnie na nią. Krzyk jakiś ją zbudził; ona to sama go wydała. Opamiętawszy się, znalazła się siedzącą na łóżku wśród ciemności, z włosem rozrzuconym, z twarzą potem oblaną. Zebrawszy myśli uczuła się zawstydzona własną niemocą.

Z nadejściem poranku, nie pierzchnęły wszelako z jéj myśli nocne marzenia. Nieraz, bądź to przy słonecznym blasku, bądź w pomroce zacienionych ulic ogrodu, widziała znowu przed sobą posępną twarz Rogera. Czy nie napotkała wypadkiem prawdy, pośród zawiłych zakrętów sennego przywidzenia? Zapytując o to siebie, Gilberta znajdowała iż najlepszym sposobem pozyskania w tym względzie jakiejś pewności, byłaby otwarta rozmowa z Rogerem. Spotkawszy się z nim w ciągu dnia, rzekła z żywością:

— Jakże rada jestem że cię widzę. Mam z tobą do pomówienia.

— Cóż to takiego? spytał ciekawie.

Chciała przemówić, ale w tem zaczerwieniła się nagle i zamilkła.

Roger odbywał parę razy wycieczki do Paryża; zwykle trwały one zaledwie dni kilka i zaraz po powrocie,spieszył powitać Gilbertę i opowiadać jej wszystko co widział i co robił w mieście. Słuchała go naprzód w milczeniu, potem czyniła mu różne zapytania. Odpowiadając na nie, plątał się nieraz, wreszcie żartami zwykle ją zbywał. Kiedyś zdziwiony wyrazem szczerym troskliwości z jakim się do niego odzywała, rzekł nieco wzruszony.

— Wiesz co ci powiem Gilberto, oto gdyby wszystkie kobiety były do ciebie podobne, o wiele by lepiej było na świecie.

— I ja tak myślę—odrzekła spokojnie.

Pewnego poranku, po długiej rozmowie z prawnikiem przybyłym świeżo z Paryża, pani de Villepreux kazała zawołać córkę do siebie.

— Siądź przy mnie Gilberto, rzekła widząc ją wchodzącą, mam do pomówienia o ważnych rzeczach z tobą. Wiesz że nie dałam się namówić na zrzeczenie się spadku twojego ojca, jak mi to doradzono. Otóż stało się iż ryzykowna spekulacya w którą dał się wciągnąć i która nie mało już nam przysporzyła kłopotów, przyniosła nareszcie zyski nadspodziewane. Skutkiem tego, jesteś dziś bogatą.

— Cóż więc z tego?

— Jesteś bogatą i masz lat dziewiętnaście; sama zatem pora pomyśleć o twej przyszłości.

— Jeśli tego żądasz, droga mateczko, pomyślę o niej od czasu do czasu.

— I ja także zamierzam nią się zająć, Gilberto. Uprzedzam cię że masz już niejednego konkurenta do wyboru.

-- Jakto? już?

— Wiadomo jest w okolicy że masz posagu cztery kroć sto tysięcy franków w gotówce....to samo tłomaczy ów pośpiech.

— Prawda!...

Gilberta zamilkła i po chwili namysłu, dodała:

— Matko czy uważasz zamąż pójscie za rzecz konieczną dla panny?

— Nie zdaje mi się ono koniecznem, ale zapewnia kobiecie jeśli nie lepsze....to chociaż wyraźniej określone stanowisko. Stara panna nie posiada, że tak powiem, prawa obywatelstwa we Francji, tak jak je w Anglii tradycyą obyczaju pozyskała. U nas, pewna śmieszność koniecznie ją ściga.

— Będę ci posłuszna, droga matko, rozpatrzę się z uwagą wkoło siebie, naradzimy się wspólnie i wspólne poweźmiemy postanowienie.

Pozorny ów spokój Gilberty pokrywał pewne wewnętrzne wzruszenie. Po raz to pierwszy myśl o zamążpójściu stawała przed nią tak wyraźnie. Samo to słowo przejmowało ją trwogą. Przypominała sobie rozmowy jakie miewała nieraz w tym przedmiocie z towarzyszkami, w czasie pobytu na pensyi, i jaką ciekawość obudzało zawsze pomiędzy niemi pojawienie się dawnej jakiej koleżanki odwiedzającej zakład, w towarzystwie mężczyzny nazywającego ją po imieniu. Wtakich razach, jedne z panien przyglądały się tureckiemu szalowi spływającemu z ramion nowo zamężnej, inne ukradkiem spoglądały na jej małżonka, i dopieroż znowu było o czem rozmawiać! Gilberta przypominała sobie, że z pomiędzy młodych kobiet odwiedzających w ten sposób dawne towarzyszki, jedne miały twarz uśmiechniętą i wzrok pełen wesela, inne zaś z wysiłkiem ukrywały smutek głęboki, a w liczbie tych ostatnich były te właśnie które w zakładzie będąc, najświetniejsze roiły na przyszłość nadzieje i najwięcej sobie od życia obiecywały. Dla czegóż tak bywało?

Zagłębiona w swych myślach Gilberta, wyszła z parku i w las się zapuściła wązką drożyną. Jesień była już późna i ziemia stwardniała od mrozu. Zeschłe liście dębów szeleściały pod zimnym tchnieniem wiatru podnoszącego się chwilami. Gilberta wybrała bezwiednie prawie ową krętą drożynę wydeptaną ku dalszym porębom i szła zamyślona sama nie wiedząc dokąd, kiedy w tem oczy jej spostrzegły na bliskiej ścieżce, ubogą kobietę wlokącą się z trudnością, trzymając za rękę małego chłopczyka potykającego się co chwila na nierównej drodze. Za kobietą szło dwoje starszych dzieci, nędznie bardzo odzianych. W chwili gdy Gilberta na nią patrzyła, usiadła dla wypoczynku na pniu ściętego drzewa, a tuż przy niej mały chłopaczek upadł bez tchu prawie na ziemię. Obie dziewczynki rzewnie płakały. Gilberta sięgnęła ręką do kieszeni i właśnie miała z pomocą pośpieszyć,

kiedy w tem Roger ukazał się na skręcie i ujrzawszy biedną rodzinę zatrzymał się w gęstwinie, zkąd wszystko widzieć mogła, nie będąc widzianą. Naprzód Roger wypróżnił sakiewkę w ręce starszej dziewczynki, która zmięszana i uradowana zarazem, przytuliła się do kolan matki, potem rozmawiał czas jakiś z tą ostatnią, słuchając z uwagą odpowiedzi jakie mu dawała i głaszcząc machinalnie główkę chłopaczka, ciekawie mu się przyglądającego. Potem Gilberta widziała jak patrzał wokoło siebie z pewnem zakłopotaniem. Wysunęła się na sam brzeg gęstwiny, tuż obok ścieżki i słyszała jak mówił:

— Nie mogę przecie zostawić was tu w lesie z temi dziećmi, moja kobiecino, to com wam dał, zaledwie na parę dni wam wystarczy; trzebaż was przecię pod jaki dach doprowadzić. Czy chociaż potraficie podejść jeszcze trochę?

— Sprobuję—odpowiedziała kobieta;—o mój Boże, bylebym się do miasta dowlec mogła i tam odwiedzić mego biednego męża w szpitalu.

— Potrzeba wam naprzód ogrzać się i przespać po dobrej wieczerzy, odrzekł Roger, a potem wynajdę jaki wózek co was tam dowiezie. Powiadacie że wasz mąż skaleczył się wypadkiem?

— Tak jest—proszę łaski pana—koło od maszyny o mało mu ręki nie urwało; ma ciało na niej ze wszystkiem poszarpane. Zabrałam z sobą dzieci i wybrałam się za nim do miasta, myśląc że tam łatwiej o robotę, alem się z silami mojemi nie obliczyła.

Mówiąc to, biedna kobieta podniosła się z wysiłkiem.

— Gdybym chociaż miała kij do podparcia się— rzekła. Niosłam długo tego chłopaka i to mię domęczyło.

— Oprzyjcie no się na mojem ręku, moja kobieto rzekł do niej Roger. To lepsze jak kij najmocniejszy wierzajcie mi.

Podał jej ramię, na którem się wsparła po chwili wahania. Dzieci uczepiły się jej ręki i sukni i za nią pośpieszyły. Gilberta szła po za krzakami w tym samym co oni kierunku.

— Przenocujecie w sąsiedniej karczmie, mówił Roger do kobiety. Rozkażę abyście tam mieli wszelką wygodę i poszlę do miasta zawiadomić męża o waszem przybyciu, żeby mu dodać prędzej otuchy. Co zaś do roboty, nie troszczcie się o nią, moja to rzecz będzie wam się jej wystarać.

— O mój dobry panie, niechże cię Bóg wynagrodzi.

Dalej, droga wychodziła z zarośli, wypadło zatem Gilbercie nie iść więcej za wędrowną gromadką. Wkrótce, straciła całkiem z oczu Rogera.

— Jakie on ma serce! powtarzała sobie, wracając zwolna ku zamkowi.

Długo o tem spotkaniu myślała, potem myśli jej w marzenia się rozpłynęły. Promienne jakieś obrazy przesuwały się po jej wyobraźni; widziała siebie wspartą na ramieniu Rogera idącą po zielonej łące, na której igrały małe dzieci; złotawe ich włosy jaśniały na słońcu. Wkoło niej ciepło było i pogodnie, Roger zdawał się szczęśliwy. W dali, na skraju lasu pod którym rzeka przepływała, widać było piękny dom obrosły dzikiem winem i różami. Niżej, obszerne łany falowały łagodnemi zarysy, gubiąc się pośród wzgórzy zamykających z obu stron widnokrąg. W dalszym ciągu tego widzenia, Gilberta dostrzegała w ganku domu matkę, ku której dzieci biegły z radością.

— Matko już idę zawołała, przyśpieszając kroku.

Nareszcie odpowiedział słodki głos, którego dźwięk zbudził ją jakby ze snu.

Podniosła oczy i zobaczyła przed sobą o parę kroków, panią de Villepreux stojącą nad brzegiem rowu którym park był opasany.

— Wołałam na ciebie parę razy, rzekła do niej matka, aleś mię chyba nie słyszała. Marzyłaś zapewne, swoim zwyczajem?

— Tak jest, matko, marzyłam, odpowiedziała rumieniąc się Gilberta, i przeskakując rów z lekkością spłoszonej sarny, tak jak to czyniła kiedyś ścigając się z towarzyszkami w Niederbrühle, już po chwili była w parku.

Wkrótce potem, zdarzyła się znowu Gilbercie sposobność studjowania Rogera bez jego wiedzy, ale ta inne w niej wcale wywołała wrażenia. Było to na wiosnę, wszystko budziło się do życia i zakwitało wesoło; zewsząd same ucieszne dochodziły odgłosy, śpiewy ptasząt rozlegały się w powietrzu pełnem światła i woni. Upodobanie Gilberty do samotnych wycieczek, nabierało w owéj porze roku większéj jeszcze siły. Pewnego poranku błądząc wśród pól zielonych, doszła wreszcie do drogi obrosłéj olchami. Zmęczona długą przechadzką, usiadła w ich cieniu, słuchając piosnki skowronka tkwiącego po nad nią w przestrzeni, kiedy w tem turkot jakiś zwrócił jej uwagę. Lekki powozik zaprzężony pocztowemi końmi zbliżał się szybko.

— Stań! to pewnie tutaj zawołał głos kobiecy, dźwięczny lecz rozkazujący.

Powóz zatrzymał się i siedzące w nim dwie młode kobiety, podniosłszy się na palce, niby zaciekawione ptaszyny, ciekawie w około rozglądać się poczęły. Lekki wietrzyk poruszał frendzle ich parasolek i szeleściał w jedwabiu jasnych sukien. Po ramionach spływały im wstążki wdzięcznie zmięszane z włosów puklami, a przez cienkie koronki przysłaniające ich twarze, widać było wdzięczny uśmiech ust i żywy blask spojrzenia. Wszystko w tych dwóch istotach zdawało się być uśmiechem. Podczas gdy zaciekawiona Gilberta wpatrywała się w nie z uwagą, ożywiony ich szczebiot dochodził do jéj uszu, podobny rozmowie ptasząt pomiędzy sobą.

— Nie widzę nic wcale, zawołała wreszcie jedna z nich uderzając niecierpliwie o brzeg powozu rączką ubraną w obcisłą i świeżutką rękawiczkę, a ty czy nie dostrzegasz czasem czego?

— Nic zgoła, moja duszo. A jednak, jesteśmy właśnie na umówionem miejscu. Oto stary kasztan, tuż obok krzyża przy drodze. Gdyby się chociaż pojawiła jaka pasterka, możnaby się czegoś od niéj dowiedzieć, ale gdzie tu szukać pasterki, kiedy nawet ani jednéj owieczki nie widać?

Gilberta chciała się właśnie ukazać zakłopotanym podróżniczkom, kiedy w tem ujrzała nadbiegającego polami Rogera, który z daleka machał kapeluszem.

— To on! to on! zawołały obie młode kobiety, klaskając wesoło w ręce.

Gilberta skryła się śpiesznie za krzaki ciągnące się wzdłuż gościńca, po chwili Roger przebiegł o parę kroków od niéj, i jednym susem wskoczywszy na stopień powozu, począł ściskać ręce obu kobietom, witając je z radością. Krew uderzyła gwałtownie do serca Gilberty, nie byłaby za nic w świecie ruszyła się z miejsca, jakkolwiek żałowała niemal że jéj przyszło na myśl tam się zatrzymać. Do uszu jej dolatywały tylko zmięszane głosy, przerywane częstemi wybuchami śmiechu. Z siodła swego, pocztyljon zwracał się niekiedy żeby spojrzeć na to towarzystwo tak rozweselone. Wszystko troje mówili jednocześnie, przerywając sobie co chwila, ruchliwi, ożywieni, wypowiadając całą postawą ile owo spotkanie sprawiało im uciechy. Było to dla Gilberty niby widzenie gorączkowego i trzpiotowatego życia paryzkiego, wybłyskujące nagle, z pośród wiejskiéj ciszy. Wzrok jej zaiskrzony nie odwracał się ani na chwilę od tego widoku. W tem Roger zawołał głośniéj:

— Ale nie, to niepodobna!

— Otóż właśnie że tak będzie, odpowiedziały ze śmiechem kobiety. I w jednej chwili, zanim się opatrzył już pociągnięty za obie ręce, znalazł się w powozie, gdzie zrobiono mu miejsce wśród śmiechów i żartów. Na znak dany przez jedną z paryżanek, woźnica klasnął z bicza, zniecierpliwione długim staniem konie ruszyły żwawo z miejsca, unosząc powóz który przebiegł przed Gilbertą wśród jasnego tumanu pyłu i znikł niebawem na zakręcie drogi.

Młoda dziewczyna opuściła ze ściśniętem sercem zacieniony kątek w który się schroniła. Weszła zwolna na pagórek pobliski i ztamtąd spojrzała w stronę w którą odjechał powóz. W dali, widać już tylko było białawy obłoczek posuwający się i niknący po nad brzegiem lasku. Skowronek śpiewał i teraz w powietrzu, ale Gilberta już nie słuchała jego piosenki. Wolnym krokiem szła w stronę zamku, jakby obciążona brzemieniem myśli które ją opanowały. Więc nareszcie widziała w całym uroku ich zuchwałéj swobody owe kobiety, o których od matki słyszała... tak, one to były... takie same zgubiły jéj ojca. Zkądże się tu wzięły, jakim sposobem znalazły się w tem miejscu i po co tu przybyły? Tłumne i niewyraźne myśli kłębiły się w głowie Gilberty. Znagła uczuła się bardzo zmęczoną i usiadła na trawie. Ale zdawało się jéj, że otaczający ją krajobraz utracił swe wdzięczne barwy, i że słońca jasność mniéj promienną była. Gilberta czuła ból jakiś, dotąd nieznany, nie umiejąc zdać sobie z niego sprawy. Cóż więc utraciła, co takiego posiadała wczoraj, czego dziś już nie była właścicielką? Pośród zadumy, napotkała wzrokiem na ziemi drobną istotkę, na któréj zatrzymały się jéj oczy. Był to mały owadzik, gramolący się z wielkim trudem ku szczytowi cienkiego źdźbła trawy, chwiejącego się pod jego ciężarem, i dźwigający z wysiłkiem w téj trudnéj wyprawie, zdobyte gdzieś łupy z któremi zaledwie mógł dać sobie rady. Doszedłszy wreszcie do kresu swéj podróży, zatrzymał się i jakby zastanowiwszy się przez chwilę w obec próżni, zeszedł znowu na dół, dla poszukania innéj drogi. Wszystko mu było przeszkodą; małe korzonki, żwiru kruszyny, odrobiny mchu zeschłego, coraz mu nowe tworzyły zapory. Idąc, potykał się i przewracał co chwila, nie mniéj jednak postępował ciągle naprzód, krocząc wytrwale pośród gąszczy tego mikroskopijnego lasu, w którym jedynemi przewodnikami były mu instynkt i cierpliwość. Przebywszy w ten sposób kilka stóp przestrzeni, co dla niego było ogromną podróżą, dostał się wreszcie do otworu małéj skrytki w któréj znikł śpiesznie ze swą zdobyczą, nabywając z nagła większéj siły i zwinności w chwili, gdy pokonał wszystkie trudności swéj wędrówki.

— To może całe życie téj istotki — pomyślała Gilberta, — nieustanna walka — walka przeciwko wszystkiemu!

Wstała żywo z miejsca i szybkim krokiem, z twarzą już spokojniejszą, wróciła do domu.

— Mamy dziś jechać do pani de Varèze, rzekła do niéj matka gdy ją ujrzała. Bądź gotowa na czas, nie chciałabym się spóźnić.

Pani de Villepreux wyrzekła te ostatnie wyrazy z pewnym naciskiem, który zdziwił Gilbertę. Widząc to w jéj oczach, matka dodała:

— Nie mylisz się moje dziecię, mamy tam kogoś zastać; proszę cię zwrócić na niego uwagę.

VI.

Dosyć było tych słów kilku, aby zbudzić całe roje marzeń w umyśle Gilberty, tyle do nich skłonnym. Kim że był ów ktoś?. Już nie inaczéj jak młodym człowiekiem, którego matka miała dla niéj na widoku. Ale kto to był taki? W jednéj chwili przebiegła myślą postacie wszystkich znajomych jéj mężczyzn, potrząsając coraz głową. Wreszcie, znużona daremnem szukaniem, postanowiła poczekać cierpliwie na rozwiązanie owéj zagadki.

Jakkolwiek uwaga Gilberty została tym sposobem odwróconą od wrażeń których doświadczyła owego poranku, myśl jéj powracała często w ciągu dnia do owych dwóch nieznajomych kobiet, które porwały z sobą Rogera, tak jak niegdyś czarodziejki na swych wozach unosiły rycerzy i pięknych królewiczów. Czy mu one potem zwróciły odebraną swobodę? I zkąd się też wzięły? Znikąd jak z Paryża; ale dokąd śpieszyły?...

Przybywszy z matką do zamku La Gerboise, Gilberta zastała tam dosyć gości, ale Rogera widać nie było. Pomyślała, że w dniu tym, wiał dla niego wiatr niedobry i serce jéj się ścisnęło, ale nawykła panować nad sobą, zwróciła wkrótce uwagę na otaczające ją osoby, w liczbie których niejedna całkiem obcą jéj była. Znajdowała nawet pewne upodobanie w odgadywaniu, która z owych nieznanych twarzy, najbardziéj na jéj uwagę zasługiwała. Po pewnym czasie, pochylając się ku matce, szepnęła jéj na ucho:

— Czy to czasem nie ów wysoki jegomość, z czerwoną wstążeczką tak sztucznie założoną w dziurce od guzika, że choć niby mało jéj widać, nie podobna wszelako nie zwrócić na nią uwagi?

— Tak jest. Nazywa się pan Very. Przypatrz mu się nieznacznie. Ma on trochę więcéj wartości, od téj co się mieści w jego wstążeczce.

Była już północ i goście poczynali się rozjeżdżać, kiedy pojawił się Roger. Żywy rumieniec wystąpił na twarz Gilberty; nie czekając ani chwili, zbliżyła się do niego i rzekła:

— Myślałam żeś odjechał.

— O! rzekł patrząc na nią z pewnem zdziwieniem, czyż to koniecznie miałem odjechać, dla tego, że mię chwilowo tu nie było?

Milczała, patrząc mu ciągle w oczy z niepokojem.

— Co ci się dziś stało? spytał Roger po chwili;— nigdym cię jeszcze taką nie widział. Masz w głosie dźwięk i w twarzy wyraz całkiem dla mnie nowy.

— Dajmy temu pokój—odparła—nie o mnie tu rzecz chodzi. Czy będziesz miał jutro czas do przechadzki i czy mógłbyś wybrać się na nią ze mną? Potrzebuję z tobą pomówić.

— Z chęcią będę na twoje rozkazy, ale o czem chcesz ze mną mówić?

— Dowiesz się o tem jutro.

— Gdzież się więc zejść mamy?

— Pod starym kasztanem; na tem samem miejscu gdzie zostałeś porwany dziś rano.

Z kolei, twarz Rogera mocno poczerwieniała.

— Wybierz się jutro w tamtą stronę, o téj saméj co dziś godzinie, dodała Gilberta; prawdopodobnie napotkasz mię.

Na znak matki, zbliżyła się ku niéj żegnając uśmiechem milczącego Rogera, i po kilku chwilach, wziąwszy płaszczyk z rąk pana de Very ani go nawet widząc, już była w powozie.

Nazajutrz z rana, pani de Villepreux rzekła do córki:

— Widziałaś pana de Very i rozmawiałaś z nim, jakże ci się podoba?

— Zdaje mi się być wykształconym, w rozmowie jest przyjemny, tylko nieco przesadny. W ogóle jest to człowiek miły i bardzo światowy.

— Więc mu mogę dozwolić tu bywać?

— Czy prosząc cię o to dał do zrozumienia, że ma jakie zamiary?

— Nie inaczéj.

— W takim razie, wdzięczna ci będę droga matko, jeśli mu tego pozwolenia odmówisz.

— Zdaje mi się Gilberto, że zbyt pośpieszną dajesz mi odpowiedź. Rodzina pana de Very jest ze wszech miar zacną; on sam, prócz osobistych przymiotów, posiada dość znaczny majątek. Wzgląd ten jakkolwiek nie pierwszorzędny w moich oczach, nie jest wszakże bez znaczenia. Więcéj jednak cenię a nawet uwielbiam szlachetne upodobania tego młodzieńca; oddawszy się poważnym zajęciom życia publicznego, potrzebuje on towarzyszki stojącéj umysłowo z nim na równi,—taką byłabyś mu w każdym względzie. Jednem słowem, jakkolwiek nie upatruję w panu de Very wzoru doskonałości, uważam, że niełatwo ci będzie znaleźć równie dobrą partję, i sądzę, że w związku z nim, napotkałabyś jeśli nie zupełne szczęście, to przynajmniéj życie łatwe i przyjemne.

— Być to może, kochana matko;—wszelako jest powód dla którego niepodobna abym go poślubiła.

— Jakiż więc?

— Oto, że go nie kocham i prawdopodobnie nie będę kochała.

— Czyń jak zechcesz, nie mam zamiaru przymuszać twojéj woli. Nigdybym władzy mojéj nie chciała używać w ten sposób. Pragnęłam tylko dać ci skorzystać z owoców mojego doświadczenia, ale na danéj ci poradzie, zamierzam poprzestać. Oto cię tylko proszę, abyś mi powiedziała, czy powód jaki mi dajesz odrzucając ten związek jest istotnie jedynym?

Gilberta się zarumieniła, ale nie spuszczając oczu pod badawczem spojrzeniem matki, potrząsła głową przecząco. Głębokie westchnienie podniosło pierś pani de Villepreux.

— Poczynam przypuszczać, rzekło smutnie, że owo wychowanie twoje w Niederbrühle, na które tyle liczyłam, nie wydało spodziewanych owoców.

— Poddałam się wszelako posłusznie wszystkim jego surowościom, nawet wtedy gdy raniły i przytłumiały wrodzone mi popędy i upodobania.

— Wiem o tem dobrze, drogie moje dziecię,—ale powiedz mi, jakże dawno uczucie którego dajesz mi się domyślać, zrodziło się w twem sercu?

— Dowiedziałam się o niem wczoraj dopiero, ale mam już pewność że mu życie poświęcę.

— Zycie?—zawołała z trwogą matka—Gilberto, życie, to rzecz bardzo długa!...Czy czujesz doniosłość słowa które wyrzekasz?

— Tak mi się zdaje droga matko.

— O mój Boże! Pierwsze to zmartwienie, Gilberto, którego ty dla mnie powodem. Tak więc ani łzy moje i długie cierpienia, ani to wszystko co odemnie usłyszałaś, nie przeszkodziło zbudzeniu się w tobie miłości!..

Za całą odpowiedź, Gilberta ucałowała ręce matki. Po chwili, ta ostatnia rzekła znowu:

— Widzę że zawierzysz dopiero własnemu doświadczeniu. Biedne dziecię te same koleje co ja niegdyś, i ty będziesz przebywać. O, jakże boleję nad tobą!

— Któż to wie, co mi chowa przyszłość, matko?

— Mówiłam ci już, że szczęście równie jest rzadkim w życiu wypadkiem jak dzień pogodny na Alp szczytach, wierzaj mi kiedy dodam, że miłość napotkać trudniej jeszcze na świecie.

— Jakże mi mówić z tobą matko o uczuciu znanem mi dopiero od wczoraj, zwłaszcza skoro oddawna troskliwość twoja zwątpić mi o niem kazała. Nie pragnęłam go, przyszło samo. Rozkwitło znagła od tego właśnie co zdawało się módz je stłumić; bądź co bądź jakkolwiek zmiennem i kruchem może być to uczucie tyle ci obmierzłe, powiedz matko, mogęż na niem doznać zawodu, skoro nie obiecuję sobie od niego niczego więcéj, jak możności poświęcenia się człowiekowi którego wybrałam, skoro nie szukam w nim niczego oprócz pewności, że mogę stać mu się użyteczną, skoro nie myśląc wcale w tym razie o sobie, jemu wyłącznie swoje życie oddaję?

— Ha! tak daleko więc zaszłaś, biedna moja Gilberto, rzekła matka składając ręce. Potem, głosem w którym boleść gniewne przybierała dźwięki, dodała:

— Napróżno ktobądź usiłuje wymknąć się swemu przeznaczeniu. Zrobiłam wszystko co mogłam aby ci tego cierpienia oszczędzić; uzbroiwszy cię do życia nie oszczędziłam ci nawet widoku wnętrza serca, w którem boleść same popioły zostawiła. Na nic się to wszystko nie przydało. Odrzucasz przyszłość spokojną, od walk troskliwie zabezpieczoną i wybiegasz naprzeciw burzy, chciwa doświadczyć jéj straszliwéj potęgi!

— Burz się nie lękam, bom na nie przygotowana; stawię im czoło z radością, bylebym je od niego mogła odwrócić.

— Marzenia i zawsze marzenia!

— Wiem dobrze matko, zawsze na nie chorowałam. Cóż na to poradzić?

— Powiedz że mi chociaż nazwisko....

— Zostaw mi parę dni jeszcze, droga matko, a potem sama ci je powiem.

Niedługo po téj rozmowie, Gilberta szła pewnym krokiem ścieżką wiodącą w stronę gdzie bielał krzyż stojący obok starego kasztanu. Tak samo jak wczoraj, skowronki wydzwaniały w powietrzu wesołą swą piosnkę i motyle goniły się po zielonych łanach! Ten sam wietrzyk poruszał łagodnie liście, przynosząc w swem ciepłem tchnieniu, nieokreśloną woń wiosennych poranków. Serce Gilberty uderzało jakby młotem w jéj piersi, ale wzrokiem spokojnym patrzała przed siebie w przestrzeń światłem zalaną. Czuła w duszy toż samo ognisko dobroczynnego światła co i w powietrzu.

Dochodząc do umówionego miejsca, spostrzegła Rogera stojącego w cieniu starego kasztana. Na widok Gilberty, podszedł ku niéj i podał jéj rękę z pewnym jednak wyrazem zakłopotania.

— Powiedz że mi nareszcie, rzekł, jaki cel tego spotkania i czemu na nie wybrałaś to miejsce?

— Dla tego że wczoraj, tu właśnie widziałam po raz pierwszy owe niedorzeczności o których mi nieraz wspominałeś. Miały one postać dwóch młodych kobiet blondynki i brunetki.

— Jakto? więc tu byłaś wtedy? czerwieniąc się po same uszy zapytał Roger.

— Byłam—i miałam czas dobrze się im przyjrzeć. Za wiele na nich było wstążek i koronek. W chwili gdy przybiegłeś—a jakże szybko leciałeś—zaledwie zdążyłam za krzaki się schować.

— Czy słyszałaś wszystko cośmy z sobą mówili?

— O, nie.

— Doprawdy? rzekł z wyrazem zadowolenia.

— Czasem jakie słowo oderwane mię doleciało; najczęściéj tylko śmiechy. Jestże to zabawą śmiać się tak bez końca?

— Wątpię i ja o tem, kiedy się nie znajduję w podobnem towarzystwie, ale za lada sposobnością, robię znowu to samo.

— Otóż dla tego właśnie tu dziś przyszłam, żebyś tego więcéj nie robił, Rogerze.

— To mi dopiero ważny powód, zawołał wesoło zdziwiony.

(d. c. n.)

FAYUM, SINAÏ I PETRA

PODRÓŻ

DO ŚRODKOWEGO EGIPTU I ARABJI SKALISTÉJ

ODBYTA PRZEZ

SŁYNNEGO ARTYSTĘ MALARZA GÉROME

ORAZ

JEGO TOWARZYSZY I UCZNIÓW

STRESZCZONA

przez **Joannę Belejowską.**

(Dalszy ciąg).

IV.

Teraz należało się zająć wyszukaniem drogmana mającego nam ułatwić wycieczkę do Fayum. W dziedzińcu hotelu zgromadziła się w tym celu znaczna liczba najdziwaczniejszych typów i fizyognomji. Ilekroć spojrzeliśmy na tych *przysięgłych* sterników, którym mieliśmy powierzyć nasze życie i mienie, mimowolnie zapinaliśmy paltoty i przytrzymywali rękami łańcuszki od zegarków.

Byli to sobie ludzie zupełnie nieszkodliwi a jednak z wejrzenia wyglądali na rozbójników. Wielu z nich mówiło kilkoma językami, a jeden znał ich aż jedenaście. Przelękliśmy się świadectw jakie nam o tem przedstawiał, a nuż przyjdzie mu do głowy zacząć mówić wszystkiemi razem, i naszym kosztem powtórzyć historję wieży Babel!.

Po długich targach zawarliśmy umowę z dwoma, jeden Hassahoni miał nam dostarczyć osły i oślarzy niezbędnych do wyprawy do Fayum, a sprytny i przytomny bardzo Syryjczyk, Józef Hussali, dromaderów, wielbłądów i wielbłądników do wycieczek w pustynie do Sinai i Petra.

Spisawszy i podpisawszy umowy, w których wszystko było wyliczone i zastrzeżone, nawet liczba potraw i wielkość rądli, poszliśmy obejrzeć nasze namioty rozpięte artystycznie pod cieniem pięknych sykomorów.

Nazajutrz, o piątéj z rana przebywszy Ezbekych, dostaliśmy się na wody Nilu, które miały doprowadzić nas do drogi wiodącéj do Gyzeh, aby ztamtąd około trzeciej po południu stanąć u stóp Piramid.

Płynąc Nilem uważaliśmy żółte zabarwienie rzeki, czego powodem jest nieustannie toczący się piasek tegoż koloru,a że dnia tego rzeka bystrzejszym płynęła prądem, płynęliśmy więc jakby po żółtéj piance! W całym Egipcie powszechnie jest znany i używany kolor ciemno-chilowy. Prześliczny widok roztoczył się przed nami, a lekkie kołysanie się łodzi wprawiające nas w dziwne jakieś rozmarzenie, kazało niekiedy wątpić czy to rzeczywistość czy tylko senne marzenie.

Około dziewiątéj minęliśmy wyspę *Rudah.* Słońce odźwierciadlało się cudnemi barwami tęczy wspienionych bałwanach Nilu; a żółte zabarwienie wody przypominało owe bajeczne złote rzeki chińskich legend. Z prawéj strony wyspy Rudah, odbijały się w rzece na jéj wybrzeżach i po za murami ogrodów, palmy bajecznie wysokie. Wznosiły ku niebu wspaniałe swe szczyty, daléj po za nami tysiąc-jeden okrętów, statków i łodzi układało się w malownicze grupy. Z jednéj strony panorama Kairu z drugiéj wspaniały widok pustyni i Piramid: tak więc Egipt ukazywał nam się w całéj swéj majestatycznéj piękności.

Zdjęty niewysłowionem uwielbieniem dla Nilu, który nam dozwalał nasycać się tak malowniczemi krajobrazami, pochyliłem się i zaczerpnąłem ręką owéj historycznéj wody, którą wypiłem z religijnem prawie poszanowaniem. Do końca życia nie zapomnę tego wrażenia..

Wylądowawszy w *Gyzeh* ujrzeliśmy wielbłądy dźwigające nasze pakunki. Na grzbiecie pierwszego zaraz dostrzegłem mój podróżny kufer, pooblepiany jeszcze prozaicznie kartkami z Zachodu. Wyraźnie zdawał się wstydzić tych trywialnych oznak, które tylko na plecach komissjonera ujść mogą. Ale tu w obec tak wspaniałéj przyrody, na grzbiecie dromadera, jakże śmiesznie wyglądały te napisy!

Z przebyciem Nilu w nowe wchodziliśmy strefy, temperatura znacznie się zmieniła, wiatry ostre i gwałtowne przypominały bliskość pustyni. Nie był to już prosty prąd powietrza wdzięcznie pochylający palm szczyty, ale nagłe wichry łamiące drzewa i gałęzie, zrywające tłumy piasku i kurzu. Tu już cały krajobraz zaczynał nieco dziką przybierać postać.

Pomimo historycznéj nazwy, wioska Gyzeh nie przedstawia nic bardzo szczególnego, chyba tylko piękne lasy palmowe, dzięki którym tworzy jedną z najpiękniejszych okoli Kairu. Palmy tutejsze bajecznych dochodzą rozmiarów, ogromne pnie dźwigają bukiety ślicznych palm, tworzących jakby olbrzymie kapitele, nie przepuszczając promieni słonecznych. W niektórych szczególnie miejscach symetrya tak jest doskonałą, iż zdało nam się że widzimy ogromną kolumnadę, podtrzymującą sklepienie z cudnéj zieleni.

Głównym przedmiotem naszego zajęcia były piramidy, zdające się nieustannie uciekać przed nami, które skutkiem olbrzymiéj wysokości łudziły nas co do dzielącéj od nich odległości.

Wokoło rozciągały się pięknie uprawne pola, jednak wśród ich zieleni zaczynały ukazywać się piaski pustyni. Przekonałem się o tem z własnego doświadczenia, bo gdy z podziwieniem przypatrywałem się trzem coraz lepiéj uwydatniającym się kolosom, nagle osioł mój potknął się mocno i przedniemi nogami zapadł w piasek. Była to pierwsza moja bliższa znajomość z piaskiem pustyni.

Trzeba było zsiąść z osłów i trzymając ich za uzdy postępować pieszo;pierwsze kroki stawialiśmy ostrożnie, z pewną ciekawością i obawą, jak dzieci pierwszy raz używające rzecznéj kąpieli. Nogi wyżéj łydek zapadały nam w piasek, co nadzwyczaj utrudniało pochód. Dreszcz mnie przebiegł na samą myśl jakie to trudy nas czekają, gdy będziem podróżować wśród pustyni. Szczęściem piasek nie wszędzie był tak grząski gdyż Opatrzność i chcąc zmniejszyć trudy podróżników, rozrzuciła tu i owdzie znaczne zasoby kamieni.

Widziane od strony Gyzek olbrzymie te Piramidy niewysłowione budzą wrażenie; jest to najwyższy w świecie z pomników ludzką wzniesionych ręką, a rozmiary ich z oddali zdają się tak bezmierne, iż prawie niepodobna okiem objąć całości. Jednak w miarę zbliżania tracą wiele uroku, jak to zazwyczaj bywa z wszelkiemi wielkościami.

Drogman kazał rozpiąć nasze namioty pod cieniem olbrzymiego sykomoru, jakby cudem zieleniejącego wśród piasków. Tu tradycjonalnie spoczywają wędrowcy i turyści dążący podziwiać Piramidy. Lokal był niezajęty, zajęliśmy go swobodnie, zawierając z gościnnem drzewem kontrakt trzydniowy, z możnością wyprowadzenia się w razie potrzeby. Wielbłądy, osły, namioty, eskorta, oślarze, wielbłądnicy, pakunki i my nareszcie, pomieściliśmy się wygodnie pod dobroczynnym jego cieniem.

To pierwsze śniadanie wśród pustyni, zapoznało nas z nowemi przyprawami. I tak, jedliśmy zimne kurczęta z piaskiem, marynowaną cielęcinę z piaskiem, wino z piaskiem, chleb z piaskiem i. t. d. i. t. d. Zęby nasze skrzypiały nieznośnie od téj szkaradnéj przyprawy—wtajemniczaliśmy się w życie pustyni. Ten kurz niepochwycony, potrafił dostać się do zegarków kilku z nas i zastanowiły się natychmiast.

Zjadłszy to *upiaszczone* śniadanie, postanowiliśmy w chęci ułatwienia strawienia odbyć pierwszą *wycieczkę kamienistą.* Trzeba było przebyć bezmierne nagromadzenie kamieni i kamyków naniesionych tu wiatrem pustyni, które przywaliwszy przeszło trzecią część Piramid, zdają się tworzyć jakby ich piedestał i podstawę. Na jednym zakręcie spotkałem się oko w oko z kolosalną głową Sfinksa, jakby strzegącego Piramid. Biedak ten już od dawien dawna nie ma nosa, a śmieszne to i barbarzyńskie okaleczenie, przypisują strzelcowi króla Kambysa. Jednak mimo tego tak rażącego braku, głowa ta wielkie czyni wrażenie, majestatem rozlanego w niéj spokoju. Widać twórca tego Sfinksa, nie miał zamiaru odtwarzać typu bezwzględnie egipskiego ale raczéj symboliczne godło królewskości, i że tak powiem foto-rzeźbę Faraona, o ile to się wtedy uskutecznić dało.

Wyobrażenie wieszczbiarstwa i tajemniczości, jakie Grecy przywiązywali do nazwy sfinx, nie da się zastosować do sfinxa egipskiego, który we wszelkich reprodukcjach jest zawsze tylko pomnikowem uosobieniem jakiegoś króla. Kartusz hieroglificzny znajdujący się przy wszystkich niemal sfinxach egipskich, obejmuje zawsze tylko nazwę, wiek, przymioty i wielkie czyny jakiegoś Faraona króla lub księcia, którego sfinx jest umówionem przedstawieniem.

Ten kolosalny sfinx stoi o jakie pięćset metrów od Piramid. Twarz jego od podbródka do wierzchu czoła ma dziewięć metrów długości, korpus w postaci lwa skurczonego, od łap przednich do ogona wynosi 57 metrów długości. Rozmiarów korpusu nie mogliśmy sprawdzić, gdyż piasek całkiem go zasłania i pomimo kilkakrotnych usiłowań niepodobna go było oswobodzić. Sama tylko głowa ocalała od téj piaskowej zamieci jakby urągając jego władzy. Według napisu na słupie najskrypulatniéj odczytanego, to godło królewskości ma przedstawiać jegomość pana Tutmesa IV z ośmnastéj dynastji, a i wszystkie napisy hieoroglificzne odnoszące się do tego sfinxa, do tąd potwierdzają w zupełnosci to twierdzenie. Wyraźnie dające się jeszcze dostrzegać ślady czerwonego koloru, zaprzeczają orzeczeniu niektórych uczonych, dowodzących że sfinx cały musiał być pomalowany zupełnie czarno.

Kolosalna ta figura nieopisane na wszystkich wywiera wrażenie, nie tyle może doskonałą stosunkowością swych rozmiarów, jak raczéj wyrazem fizjognomji wyrażającym niewysłowioną błogość zaprawną ironią. Archeolodzy którzy poznali dobrze wszystkie typy sfinxów egipskich, jednozgodnie przyznają palmę pierwszeństwa téj olbrzymiéj głowie, pod względem wykończenia linji i czystości wyrazu.

Opuściliśmy nareszcie to arcydzieło rzeźbiarskie, aby nazajutrz z kolei podziwiać trzy pomniki, które zawsze stawiano w pierwszym rzędzie siedmiu cudów świata.—Dla oka piramidy są może mniéj artystyczne, zawsze jednak są wynikiem kombinacji i wyrachowań, które po dziś dzień dla nauki pozostały zagadką..

Arabowie zbudzili nas o czwartéj rano i pojedynczo w towarzystwie trzech przewodników, rozpoczęliśmy tę prawdziwie powietrzną przechadzkę. Jeden Arab trzyma za lewą drugi za prawą rękę, a trzeci podpiera z tyłu i w razie potrzeby zabezpiecza od wypadku. Im prędzéj przewodnicy doprowadzą na szczyt piramidy, tem większą przynosi im to chlubę, bo też

zazwyczaj wstępując na platformę podróżnik każdy jest niesłychanie strudzony, i cały w potach jakby po parowéj łaźni. Zejście daleko jeszcze więcéj męczy, już choćby tylko z powodu zawrotu, jaki prawie koniecznie ogarnia zstępującego z tak wielkiéj wysokości.

Jeden z najpierwszych stanąłem na szczycie téj prawdziwéj góry, co według wprowadzających mnie Arabów, było oznaką szczególniejszéj łaski Mahometa zapewniającéj mi źródło nieprzebranéj pomyślności. Jednak widok jaki się przed wzrokiem moim roztoczył, nie odpowiedział w zupełności moim oczekiwaniom. Ponorama Nilu, Kairu i pustyni przedstawia się z takiej odległości, że żaden przedmiot nie może być widziany wyraźnie. W dalekiéj oddali ukazuje się Nil, niby wielka srebrzysta wstęga, oszyta zieloną frendzlą przecinając dolinę służącą mu za łożysko. Podczas wylewów nawet pyszny Makattam, dumnie spoglądający na rozpostarty u stóp jego Kair, traci swój urok widziany z równéj mu prawie wysokości. Po za nami roztaczała się okiem niezmierzona pustynia, wyglądająca jak bezmierna płaszczyzna kiedyś zalana morzem z zachowującą jeszcze ślady wyryte przez morskie bałwany.

Wejście zajęło nam przeszło trzy kwandranse czasu, było około piątéj rano i słońce jednym rzutem ukazało się na horyzoncie rozjaśniając pustynię, Nil, Kair i wszystko wokoło. Nasyciwszy się tym widokiem i pobawiwszy się nieco w doświadczenia akustyczne, z wielkim trudem zeszliśmy na dół i zaraz skierowaliśmy się ku otworowi prowadzącemu do wnętrza Piramid. Druga ta wyprawa znużyła nas stokroć więcéj od pierwszéj, a pomijając względy historyczne i archeologiczne, dla nas jako malarzy, żadnego nie przedstawiała zajęcia; trudno bowiem bardzo znaleźć przedmiot do obrazu, w tych prawdziwych długich prostokątnych rurach, przez jakie nas prowadzono. Jak zazwyczaj, otwory prowadzące do wnętrza podobnych pomników,—tak i wejście do wielkiéj Piramidy, znajduje się w stronie północnéj, w odległości około 20 metrów od ich widocznéj podstawy. Schody bardzo przez czas zużyte, ciągną się przez długość 69 metrów: przebywszy je weszliśmy do długiego horyzontalnego korytarza, po za którym ciągnie się drugi, 35 metrów długi, prowadzący do małéj czworokątnéj izdebki, zwanéj „pokojem królowéj". Biedna królowa! jeśli wszystkie jéj ruchomości mieściły się w tym pośmiertnym buduarze, nie można ją posądzać o przesadzony zbytek! Sądząc z gołych ścian na których nawet śladu malowanego papieru nie pozostało, widać *zajęcie* dokonywane było z najściślejszą skrupulatnością.

I znowu przeszliśmy kilka, jeden od drugiego węższych i ciemniejszych korytarzy, chcąc dojść do „pokoju króla" w którym znajduje się jeszcze sarkofag właściciela z jednej sztuki kamienia. Nie jednokrotnie trzeba było przesuwać się leżąc lub na czworakach, gdyż tylko kosztem takiego *płaszczenia się* można dostać się do królewskiéj komnaty. Wprawdzie prowadząca bezpośrednio do niéj galerja jest obszerniejsza od innych, ale znów tak raptownie pochyla się ku dołowi, że przebycie jéj jest nader męczące. Weszliśmy nareszcie w progi ostatniego schronienia króla Cheops'a, domyślnego mieszkańca tego appartamentu, który ze względu przywiązanych doń wspomnień historycznych, większe budzi zajęcie od „pokoju królowéj".

Nie będziem zbyt obszernie rozpisywać się o Piramidach, odsyłając czytelników do niezliczonych traktatów zajmujących się archeologią egipską, które ułożone w jeden stos, utworzyłyby także niezgorszą Piramidę. Opisują one najdetaliczniéj każdy kamyczek;—doprawdy aż strach pomyśleć co poczną przyszli archeologowie, gdyż zdaje się nic im już do badania nie pozostanie.

Wróciwszy do namiotów zgłodniali, rzuciliśmy się na przygotowane śniadanie, i sądzę, że spoglądające na nas czterdzieści wieków, musiały być nader zadowolnione z naszego apetytu. Widać jak wielkiem było uwielbienie nasze dla nieboszczyka Cheops'a i jego rodziny, kiedy aż tak wielką próżnię wytworzyło w naszych żołądkach, co powinno było zapewnić nam ich łaskę i poparcie przy zwiedzaniu pozostałych jeszcze jego posiadłości.

Z kolei zwiedziliśmy Piramidę *Chephrema*; jest ona nie wiele niższa od wielkiéj piramidy, z powodu że została wzniesioną na znacznie wyższym gruncie. W górze nie ma tu żadnéj platformy i szczyt przechował się nietknięty; widać jeszcze resztki różowego granitu, jakim cały pomnik był wyłożony.

Pozostało nam jeszcze obejrzeć choć niektóre z licznych grobowców otaczających i że tak powiem, uzupełniających Piramidy. Te pomniki wykute w skale są nadzwyczaj ważne pod względem naukowym. Lepsius opisał je nadzwyczaj szczegółowo i wyczerpująco, a pokrywające je malowidła i hieroglify, dopomogły niezmiernie do odbudowania porządku chronologicznego, i sprostowania wielu błędnych twierdzeń odnoszących się do historji starożytnego Egiptu. Zdaje się, że wiele z tych grobowców odleglejszéj jeszcze niż Piramidy sięgają starożytności, i są najdawniejszym zabytkiem budownictwa Egiptu.

Gdyśmy już wracali do naszego obozowiska, któryś z wielbłądników pochwycił delikatnie jedną z owych brzydkich gadzin, psujących całość tego pięknego krajobrazu. Była to owa przez tylu pisarzy opisywana żmija Kleopatry; ukąszenie jéj jest śmiertelne. Pierwszy to raz zdarzyło nam się widzieć tak z bliska tego starodawnego mieszkańca Egiptu, pochodzącego może w prostéj linji od owego tak głośnego w świecie przodka. Cóż to za szacowna zdobycz dla naszego naturalisty, który z nieopisaną radością zajął się wypchaniem brzydkiego gadu, mającego rozpocząć szereg przeróżnych obrzydliwości, jakiemi zamierzał zanieczyścić nasze bagaże.

Nazajutrz puściliśmy się w dalszą drogę idąc szeregiem, najpierw osły, potem wielbłądy i bagaże, a na końcu szanowne nasze persony—i w tym porządku przybyliśmy do *Sakkary* około piątéj wieczorem. Nie zatrzymując się przed Piramidami *Abu-Sir*, gdyż nie przedstawiają nic godnego widzenia, doszliśmy do piramid *Sakkary*, budzących zajęcie pod względem archeologicznym. Podstawa największéj jest w kształcie kolosalnych schodów; patrząc z oddali, owo ząbkowanie wytworzone przez schody, szczególniejszą nadają jéj postać, bo łagodzi nieco kąty wierzchołka i przypomina budowle assyryjskie jakie widziałem w Moszul.

Żywe obudziła w nas zajęcie mała świątynia, świeżo odkryta w tych stronach przez p. Mariette.

Sięga najodleglejszéj starożytności, a jednak cała powierzchowność jako też kolory zdobiącego ją hieroglificznego malowania, wydają się tak świeże jakby tylko co wykończone.

Według mniemania p. Mariette, powziętego w skutku najstaranniejszych poszukiwań, śliczny ten grobowiec jest dziełem jednego z owych Faraonów, nie zrażających się największemi trudnościami budownictwa, i nie lękających się najdziwaczniejszych imion: nazywał się bowiem Ti. Z jego rozkazu, pogrzebowa ta willa, przystroiła się w najdelikatniejsze, najpiękniejsze rzeźby i ozdoby; jako malarze zachwycaliśmy się hieroglifami których zwierzęta odznaczały się nadzwyczaj poprawnym rysunkiem.

Zwiedzenie Serapeum p. Mariette zajęło nam dzień cały, tak długim szeregiem ciągną się te fantastyczne grobowce.

Patrząc na te ogromne, bajecznie ciężkie, jedno lite kamienie, niepodobna wyobrazić sobie jakim sposobem zdołano je tu poznosić, a jednak Egipcjanie prostym bardzo sposobem rozwiązali to zadanie. Po nad miejscem jakie olbrzymi kamień miał zajmować w podziemnych galerjach, wykuwano w skale studnię, i zapełniwszy miałkim piaskiem, umieszczano nad otworem owe bezmierne bryły granitu, tym sposobem wewnątrz galerji następowało stopniowe osuwanie się piasku, a tak powoli sarkofag sam przez się opuszczał się na wyznaczone dlań miejsce. Jakże to prosty i rozumny zarazem pomysł!

Dziś wydobycie któregokolwiek z tych pomników, jest najzupełniéj niemożliwe. Gdy p. Mariette je odkrył, były już całkiem ogołocone przez p. Cambyse z wszelkich znajdujących się w nich uprzednio skarbów i kosztowności.

Sakkara i *Dachur* gdzie mieliśmy obozować nazajutrz, leżą na krańcach miejscowości zajętéj kiedyś przez miasto Memfis; zdaniem Herodota i Strabona było one największem z miast starożytnych. Obecnie jest najzupełniéj zasypane piaskiem, a odkopywanie w tak ruchomym piasku, tak niesłychane przedstawia trudności, iż może nigdy nie zostaną odszukane, ukryte w jego otchłaniach cuda i skarby. Napotkaliśmy wiele szkieletów i kości odkrytych skutkiem osuwania się gruntu; tu i owdzie leżały na piasku pouszkadzane mumie, czaszki kobiece osłonione opaskami i bujnemi włosami, będące może kiedyś własnością jakiéj uroczéj dziewicy z dworu Faraona.

Podniosłem kilka dobrze zachowanych opasek z materji starych jak świat, a nadto parę owych amuletów tak rozpowszechnionych w Egipcie, które zazwyczaj rozprzedają Arabowie. Są one wyrabiane z glinki lub porcelany emaljowanéj, z wyobrażeniem kobiety z lwią głową, co ma być uosobieniem bogini Izydy. To niezliczone mnóstwo rozmaitych szczątków napotykanych na powierzchni piasku, dozwala wnosić jak bogaty plon skarbów i zabytków możnaby posiąść przez odkopanie zasypanego miasta, gdyby to było zadanie mniéj trudne i mniéj kosztowne.

Nigdy jeszcze nie czułem się tak maluczkim jak w téj chwili, gdy z jednéj strony patrzyłem na odwieczne piramidy, z drugiéj na okiem niezmierzoną piaszczystą pustynię—ja i towarzysze moi wyglądaliśmy jak muchy siedzące gdzie nie gdzie na olbrzymiem cukrem osypanem ciastku.

Przebywszy prześliczny i tak gęsty las palmowy, że z trudnością mogliśmy się przesuwać w pośród ostrych pni, ujrzeliśmy nagle jeden z tych bezmiernych kanałów, przerzynających środkowy Egipt. Przekopanie ich wymagało olbrzymiéj pracy, trudno choćby w przybliżeniu wyobrazić sobie, ile to trzeba było czasu i jak bajecznéj liczby rąk, aby tak kolosalnego dokonać dzieła.

Zgłodniali, późnym wieczorem przybyliśmy do Dahur; wioska ta odznacza się ślicznemi, wschodniemi prawdziwie krajobrazami i pewną, właściwą sobie oryginalnością.

(d. c. n.)

N. 1. Suknia z wyciętym stanikiem dla małéj dziewczynki. Przy sukience z popielatéj alpagi, ukrajanéj na stosowną długość podług ryciny 10 w N. 23 Tyg. Mód. dany jest garnirunek z riuszy 3 cent. szerokiéj i pliski z materjału w paski szerokie na pół cent. Riusza przyszyta jest



N. 1. Sukienka z wyciętym stanikiem dla małéj dziewczynki.

rodkiem takąż pliską. Staniczek przybrany w ształcie gorsecika; pasek i szarfy objęte również liskami w paski.

N. 2. Ubranie dla maleńkiego chłopczyka. Sukieneczka ta odrobiona jest z żołtéj piki i przybrana czarnem naszyciem i szarfą trochę okrągło skrajaną. Na gładki staniczek niejednokrotnie podaliśmy już formy w Tyg. Mód.

N. 3 — 5. Ubranie z vêtement. Rycina 3 przedstawia z przodu całkowite ubranie, składające się ze spódnicy suto przybranéj z szafirowéj materji faille i z vêtement matowo popielatéj grenadiny w szerokie jedwabne pasy.

Wolant od góry w zęby przyszyty liczy 31 cent. szerokości i jest w górnym brzegu w ten sposób wykrojony że w odstępach 36 cent. formują się zęby 19 cen. głębokie, potrójna kontrafałda 13 cent. szerokości mająca zwęża długość zęba do 25 cent. U dołu na wolancie naszyte są trzy skośne 5 cent. szerokie falbanki, zachodzące jedna na drugą; najwyższa ma wąziutki nagłówek



N. 3. Suknia z gładkiéj materji jedwabnéj i vêtement w pasy. Patrz vêtement z tyłu ryc. 4 i rękaw odmienny rycina 5.



N. 5. Rękaw z wolantem może być użyty do ryc. 4.

Górny brzeg wolantu stanowi bufa 6 cent. szeroka w górze fałdowanym nagłówkiem zakończona, u dołu oszyta ciężką jedwabną frendzlą, 8 cent. szeroką. Stanik pod szyję zapięty na guziki; wązkie rękawy u ręki zakończa bufa i falbanka.

Popielate vêtement na rycinie 3 oszyte jest riuszą 5 cent szeroką, marszczoną ze skosu atłasowego popielatego, środkiem przeszyta sznurem. Piękna frendzla zakończa brzegi. Na rycinie 4 podane jest z tyłu vêtement, przyozdobione szarfami, odznaczającemi się nowością układu. Vêtement wykończone jest z białéj grenadiny w jedwabne pasy i rzut z kolorowych kwiatów. Spódnica z materji fijołkowej jedwabnéj, ubrana jest wolantém i bufą.

Rycina 5 przedstawia rękaw zakończony falbaną i ozdobiony kokardą z kolorowego batystu, który może być dany w miejsce podwójnych rękawów greckich opisanych poprzednio.



N. 2. Sukieneczka z szarfami dla małego chłopczyka.

N. 6 i 24 Suknia z tuniką i stanikiem z karoczkiem. Przybranie do sukni z popielatolila materji, składa się z plis atłasowych, takiegoż koloru po 3 cent. szerokości, przyozdobionych rozetami podanemi pod ryc. 24 w naturalnéj wielkości, które na staniku, karoczku i rękawach naszyte są w odstępie 9 cen. a przy tiunice na 12 cent. odległości. Każda z takich



N. 6. Ubranie z tuniką i stanik z karoczkiem Patrz ryc. 24.



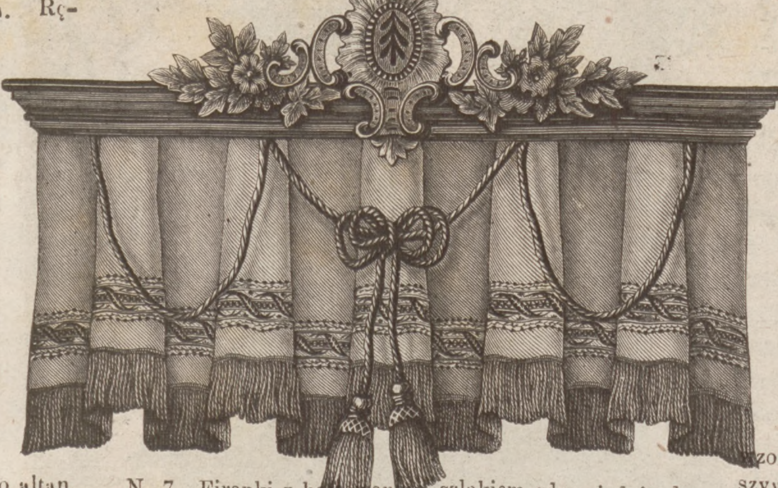
N. 4. Suknia z jednokolorowéj materji i vêtement z materjału rokoko. Patrz ryc. 3 i 5.

rozetek układa się z podwójnie zeszytego kawałka atłasowego skosu, 7 i pół długiego, a 2 i pół szerokiego, na którym podług wzoru przeszywa się kontrafałda. Rękawy zakończone falbankami atłasowemi, 11 cent. szerokiemi, 70 cent. długiemi wyglądają bardzo strojnie. Frendzla liczy 7 cent. szerokości. Rozety służące do przybrania téj sukni, mogą być również układane i z wełnianych materjałów, byle tylko posiadały odpowiednią sztywność.

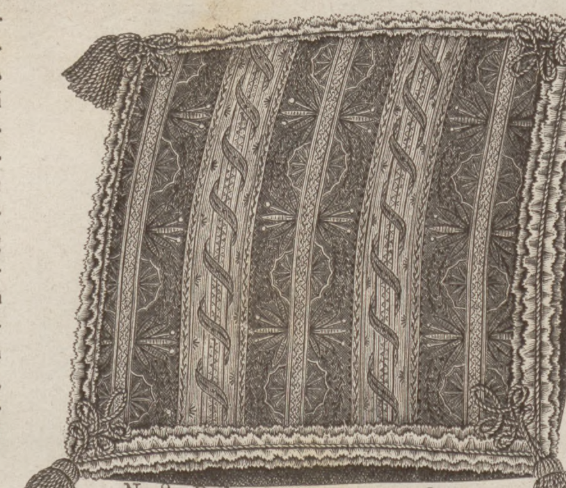
N. 7 — 13. Meble na balkon lub do altany. Gładki świecący drelich w dobrym gatunku lub też deseniowy w pasy, stanowi bardzo praktyczne i powszechnie używane obicie na meble do altan, na balkony, na pojedyncze sprzęty lub nawet całe garnitury do meblowania pokoi. Rycina 13 podaje szeroki szlak haftowany kolorowemi jedwabiami na drelichu w pasy białe z popielatem. Ścieg krzyżowany złoto-żółty z czarnem i lila stanowi środkowy pasek, dopełniony po obu brzegach białemi gwiazdkami niebieskiemi o żyłkach białych i czarnych; pomiędzy gwiazdkami dane małe żółte ząbki, z czarnemi ściegami po nad którymi rzucone łuki ściegiem cierniowym, fijołkowym jedwabiem z krzyżykami zielonemi. Wielkie gwiazdy łączące łuki, wyszyte są pąsowym, białym i czarnym kolorem, ściegiem przekładanym, promienie między listkami gwiazdek są pąsowe z czarnym i białe z czarnym. Na następujących pojedynczych figurach wskazujemy zastosowanie szlaków na całem obiciu garniturów.



N. 9. Krzesło, odpowiednie do garnituru ryc. 8—12. Patrz szlak ryc. 13 i 32 w N. 5 tegorocznym.



N. 7. Firanki z haftowanym szlakiem odpowiednie do garnituru, ryc. 8—12. Patrz ryc. 32 w N. 5 Tyg. Mód.



N. 8. Poduszka do kanapy odpowiednia do garnituru ryc. 8—12.



N. 14. Koszyczek do robót z bocznemi kieszonkami i poduszeczką.



N. 12. Serweta na stół odpowiednia do garnituru ryc. 8 do 12. Szlak patrz ryc. 32 w N. 5 T. Mód.



N. 13. Szlak szeroki na meble zastosowany do garnituru ryc. 8—12. Haft kolorowy.

N. 7. Firanki z haftowanym szlakiem. Deseń podaliśmy na rycinie 32 w N. 5 tegorocznego Tyg. Mód. Pas drelichu, płótna lub wełnianego rypsu 40 cent. szeroki oszyty jest grubą frendzlą, a jako przybranie służy szlak haftowany na oddzielnym pasie drelichu w paski.

Firanka po wykończeniu układa się w równe kontrafałdy, przystrają wiszącemi sznurami, z pod których mogą spuszczać się długie białe firanki.

N. 8. Poduszka na kanapę. Pokrycie składa się naprzemian z szerokich pasów podług ryciny 13 i z węższych podług ryciny 32 w N. 5. Tyg. Mód. Przybranie stanowi riusza wycinana w zęby układana z kawałka białego sukna i z pąsowéj taśmy wełnianéj, przeszyta środkiem grubym kręconym sznurem, którego końce na czterech rogach zakończone są kwastami.

N. 9. Krzesło. Zwykłe składane żelazne krzesełko z drewnianem siedzeniem i poręczą, pokryte jest podług wzoru drelichem wyszywanym odpowiednio do garnituru, a za przybranie służą kwasty, frendzla i sznur kręcony.



N. 10. Krzesło z poręczami odpowiednie do garnituru rycina 8—12.

N. 10. Fotel. Forma fotela jest bardzo prosta i dogodna, żeby zaś stosowny był do garnituru dodaje się pas środkowy, zakończony frendzlą i kwastami.

N. 11. Taboret. Drelich wyszyty w szerokie i wązkie pasy, przytwierdzony do ram drewnianych, stanowi siedzenie w taborecie. ozdobionym przewijanym sznurem i kwastami.



N. 11. Taboret odpowiedni do garnituru ryc. 8—12

N. 12. Serweta. Szlak haftowany na ozdobnym kawałku i oszycie grubą frendzlą stanowi zakończenie przy serwecie z drelichu, płótna lub rypsu, odpowiednio do firanek. Przy meblach ogrodowych, potrzeba i ławkę do garnituru przyozdobić, wyszywanem pokryciem.

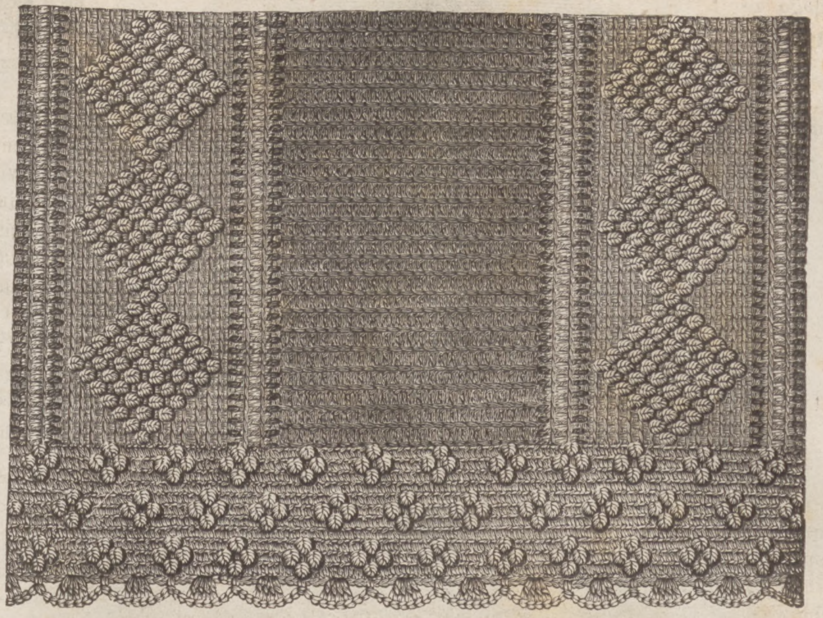
N. 14. Koszyk do robót z poduszeczką i bocznemi kieszonkami. Gustowny koszyczek wyplatany z czarnéj i żółtej trzciny z mocnym brzegiem i ruchomym pałączkiem, wyłożony jest niebieskim tybetem, a po bokach dodane ma kieszonki i woreczek na przybory do robót i poduszeczkę do igieł. Brzeg podszewki u góry przyszyty jest riuszą ze wstążki 2 cent. szerokiej, u dołu na dnie koszyczka marszczy się i przytwierdza w pośrodku. Kieszonki obie u góry i poduszeczka z czterech stron ogarnirowane są riuszą. Kokardy przy pałączku dopełniają przybrania koszyczka.

N. 15 — 17. Ściegi na kołdry. Robota szydełkowa tunetańska.

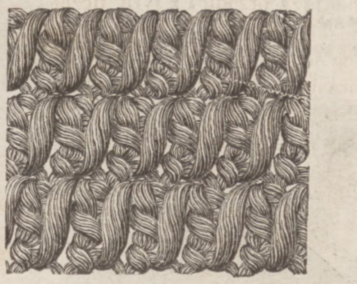
Podany wzór odrabia się dwoma cieniami zielonemi lub brązowemi poprzecznie. Szersze pasy mające 13 c. szerokości, zaczyna się na oczek 24, węższe 10 cent. szerokie na oczek 16. N. 16 i 17 podaje próbki roboty z prawéj i lewéj strony; ten rodzaj ściegu jest tak wyraźny, iż obie strony zarówno jako prawe służyć mogą. Ryci na 16 wskazuje dokładnie robotę, od ręki prawej ku lewéj; przy przerabianiu łańcuszka wracając ku ręce prawéj potrzeba węzeł i nitkę 1 o. pow: przejmować. Węższe paski robione zwykłym tunetańskim ściegiem przyozdobione są muszkami stanowiącemi kwadraty, muszki te dodają się przy przerabianiu łańcuszkiem, a każda liczy 4 o. pow. Każdy pas obrobiony jest wzdłuż oczkami ścisłemi, dając z brzegów raz kolor czarny a między tem dwa razy obrobienie zielone. Połączenie pasów wykonywa się z lewej strony włóczką białą w ten sposób, że chwyta się tylko za dolną połowę oczek brzeżnych, a zwierzchnie wystają z prawéj strony. Gdy pasy węższe i szersze są już z sobą spojone, obrabia się wkoło idący jasno zielony szlaczek, ściegiem zwykłym nie tunetańskim z wypukłemi muszkami, który już dawniéj podawaliśmy w Tyg. Mód. Po za szlaczkiem idzie obrobienie ząbków ze sł. i o. pow. które odrobić można podług wzoru N. 15.



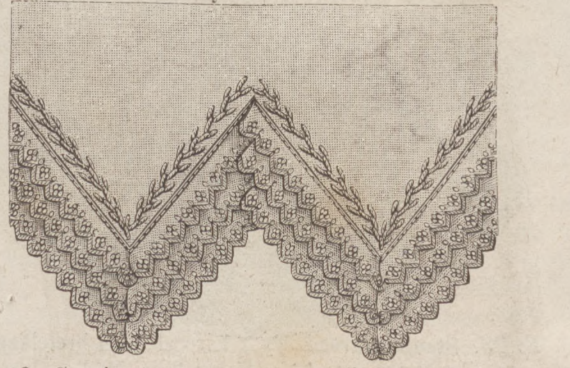
N. 16 Ścieg tunetański na kołdrę. Prawa strona.



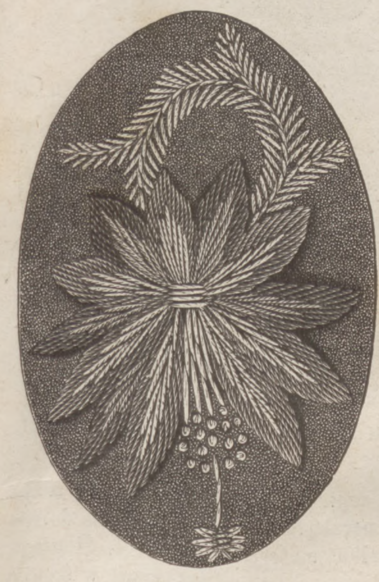
N. 15 Deseń na kołdrę. Robota tunetańska. Patrz ścieg ryc. 16—17.



N. 17. Tunetański ścieg na kołdrę. Strona lewa.



N. 18. Garnirunek do spódnic, penioarów, negliży i t. p



N. 19. Kwiat do przyozdobienia parasolika rycina 17—18 w N. 24 T. Mód. Haft kolorowy.

N. 18. Szlak do spódnic, negliżów lub penioarów.

Podajemy próbkę garnirunku w zmniejszonéj o połowę wielkości, który stanowić może gustowne i bogate przybranie, jeśli naszyjemy go kilkanaście razy haftowanemi szlaczkami przedzielając pliskami, ażeby naszycie całe miało do 20 cent. szerokości. Trzy rzędy zachodzących na siebie ząbków można odrobić ręcznie lub kupić gotowych fabrycznych. Nad trzecim rzędem dana pliska stębnowana w maszynie, a nad nią wyszycie bawełną, ściegiem cierniowym.

N. 19—20. Wyszycie deseniu na parasolik.

Pojedyncze bukiety służą do przyozdobienia parasolików opisanych w N. 24 Tyg. Mód. N. 19 służy do wyszycia parasolika ry. 18 w N. 24 Tyg. Mód; rycina 20 oznacza rzut do parasolika N. 17.

N 21. Denko okrągłe do ozdoby koszyczków, szkatułek lub jako pokrycie poduszeczki. Haft kolorowemi jedwabiami i podkładanie.

Materajł: białe i kolorowe sukno w trzech stopniowych cieniach, takież jedwabie kordonkowe, sznureczek złoty i złote nici. Stosownie do użytku na jaki ma służyć deseń i kółko, można z łatwością powiększać, a w robocie dobierać dowolnie kolory i sukno lub aksamit. Na brązowem podłożeniu, wyciętem w ząbeczki, wyhaftowane są listki atłaskiem, jedwabiem tegoż koloru. Brązowe ściegi jedwabiem i sznureczek złoty przeszywany czarnem, stanowią dalsze wyszycie. Środkowe białe kółko ozdobione jest gałązką brązowych cieniowanych liści, przy których oszycie brzegów i żyłki dodane są jedwabiem i złotą nitką. Oba koła sukienne spojone są rzucikiem wyszytym w ząbeczkach, jedwabiem średniego cieniu i małemi perełkami złotemi.

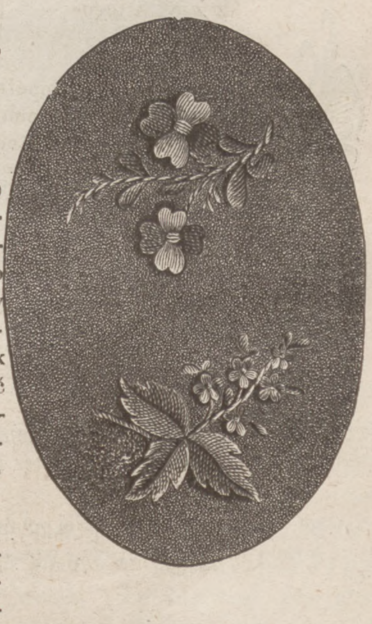


N. 21. Kółko do przyozdobienia koszyczków, na patafkę lub poduszeczkę. Haft kolorowy.

N. 23. Oszycie z tasiemeczki, krzyżowanego ściegu i aksamitki. Do sukienki rycina 2.

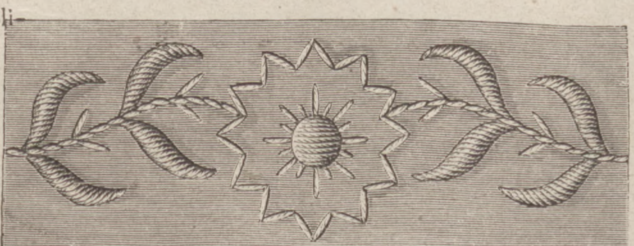
N. 24. Opis przy rycinie 6.

N. 25-27. Trzy haftowane szlaczki do przybrania sukien, kaftaników lub całego ubrania. Ulubiony i powszechnie używany garnirunek do ubrań i okryć stanowią plisy wyszywane, jednakowym kolorem. Do krótkich sukiennych, czarnych kaftaników, używane są bardzo szlaczki w guście tureckim lub rzymskim. Ryciny 25 i 26 podają wzory plisek wyszywanych takimże kolorem. Kolorowy szlak N. 27 składa się z małych kwadracików z nitki żółtéj, czarnéj, pąsowéj i złotéj jako obwódka brzeżna. Gałązki łączące są koloru zielonego ze złotą prążką; większe figury są niebieskie. Szlaczek ten stanowi także ładne oszycie do koszyczka na klucze.

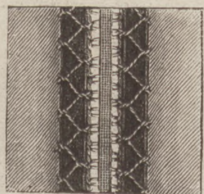


N. 20. Rzucik do przyozdobienia parasolików ryc. 17 i 18 w N. 24 T. Mód.

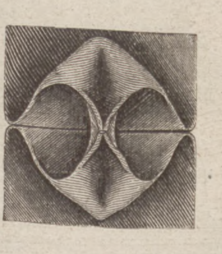
N. 28. Stanik gorsecikowy z bretelkami i karoczkiem. Ładne i strojne przybranie do staników wyciętych lub pod szyję, podają ryciny 28 w dzisiejszym i 13 w N. 24 Tyg. Mód. Obie bretelki po 76 cent. szyje się z ażurowéj haftowanéj wstawki i podwłóczy kolorową wstążką; szerokość u dołu wynosi 3 i pół cent. na ramionach 5 cent. Do wstążki przytwierdza się w odległości 3 cent. jeden od drugiego, pięć listków ufałdowanych z podwójnego muślinu, jak to widać na wzorze. Garnirunek z listków dopełnionych 2 cent. szeroką koroneczką, zastosowany jest także do części gorsecikowych, ułożonych z muślinowych plisek i wstawki koronkowéj, jako też do karoczka i końcy od bretelek odznaczających się na rycinie 13. Karoczek składa kawałek muślinu ciety prosto, 40 cent. sze-



N. 22. Haft do przyozdobienia parasolika ryc. 16 w N. 24 T. Mód i do sukni ryc. 31.



N. 23. Oszycie z aksamitki, plecionki i krzyżowego ściegu do sukienki ryc 2 w N. 24 T. M.



N. 24. Rozeta do ryciny 6.



N. 25. Szlak wyszyty łańcuszkiem.



N. 27. Haft łatwym ściegiem kolorowemi jedwabiami. Desenie N. 25—27. służyć mogą do przyozdobienia sukien, kaftaników lub całych kostiumów i płaszczyków.



N. 26. Szlak wyszyty łańcuszkiem.

roki i 18 długi. Jest on zaokrąglony na rogach i w środku w ząb 12 cent. głęboko wycięty; po założeniu kontrafałdy, przyszywa się karoczek do paska, złożonego ze wstawki i koronki. Kolorowe szarfy męszane są z listkami muślinowemi.

N. 29—30. Uczesanie głowy w warkocze i pukle. Ryciny 29 i 30 podają z przodu i z tyłu uczesanie, nadające się do własnych długich i gęstych włosów, można jednakże i przy mniéj pięknych włosach poradzić sobie dodając kupne, wówczas własne służyć muszą tylko na pukle przednie i z tyłu głowy. Ponieważ rzadko zdarzają się własne włosy w takiéj obfitości a szyniony tak grube kosztowałyby za drogo, wplata się więc tylko krepiny.



N. 28. Stanik gorsecikowy z karoczkiem i bretelkami
Patrz ryc. 13 w N. 24 Tyg. Mód



N. 29. Uczesanie głowy z warkoczami i puklami, przedstawione z boku. Patrz ry. 30.



N. 30. Uczesanie z warkoczami i puklami. Tył do ry. 29.

N. 31 i 32. Ubranie z haftowanem vêtement.

Haftowane vêtement z krótką pelerynką odrobione z batystu écru, może być noszone do gładkiej spódnicy batystowéj, pikowéj, wełnianéj lub jedwabnej albo tylko do takiej samej spódnicy, przybranéj wolantami i haftowanemi pliskami. Wzór przyozdobiony jest haftem podanym na rycinie 22. Falbanka podwójna dziergana w ząbki, zakończa brzegi. Kapelusz okrągły z batystu écru na wycieczki wiejskie, ubrany riuszą wyciętą w ząbki. Parasolik wykończony podług wzoru N. 16 w N. 24 Tyg. M. Na ręku podajemy jeszcze zręczny taborecik składany, dogodny do siedzenia, który można nosić z sobą.

N. 32. Ubranie
z vêtement w wązkie paski.

Rycina 32 w dzisiejszym i rycina 20 w przeszłym numerze przedstawia vêtement z materjału w paski i spódnicę w jednym kolorze z barezu bawełnianego écru.

Przy wolancie 30 cen. szerokim dany jest u dołu garnirunek 8 i pół cent: szeroki z plisowanych falbanek po 4 cent. szerokich, ułożonych do siebie ze skośnego kawałka i zaobrębionych na prawą stronę. Zeszycie plisowania pokrywa riusza marszczona, zaobrębiona wązko i oszyta koroneczką.

Jako nagłówek nad wolantem, powtarza się tenże sam garnirunek, lecz 12 cent. szerokości mający. U vêtement tylny karoczek kraje się w jednym ciągu z plecani stanika. Tylna część tiuniki składa się z dwóch pojedynczych brytów prostych, które z tyłu są podpięte a na bokach łączą się szwem z przedniemi, zupełnie otwartemi brytami. Wązka marszczona, skośna riusza 4 i pół cent szeroka, z jednéj strony ma podane plisowanie 4—5 cent. szerokie, z brzegów zaś oszyta jest wąziutką koroneczką. Plisowana falbana do rękawów wymaga kawałka materjału 134 cent. długiego 23 cent. w środku i 10 cent: w końcach szerokiego.

Rozeta do paska ułożona jest z gładkich i w paski skośnych kawałków, oszytych białą koroneczką.



N. 31—32. Dwa letnie ubrania.
N. 31. Ubranie z haftowanem vêtement. Deseń patrz ryc. 22. N. 32. Ubranie z vêtement w drobne paski.

KORESPONDENCJA.

Pani B. O. Formy na Vêtements znajduje się na arkuszu z krojami do N. 18 Tygodnika Mód.

Bardzo łatwo takowe skopjować używając do tego bibułki angielskiej.